



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY.

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Na 30-go Sierpnia b. r. Fałb przepowiedział dzień feralny, i oto w Hohenems Ren wystąpił z brzegów, w Austrii Dunaj rozlał się szeroko, w Czechach Wełtawa się rozszalała, z rozmaitych stron nadeszły prawie jednocześnie hołbowe wieści o powodziach, które pozalewały całe okolice. Z Linzu, Wiednia i Pragi telegraf przyniósł wiadomość, że tam główne dzielnice stoją pod wodą.

Największą katastrofę sprawiła powódź w stolicy Czech; przyszła ona, jak najazd tatarski, nagle i niespodzianie; około godziny trzeciej nad ranem musiano pobudzić mieszkańców wystrzałami z dział i oznajmić im o niebezpieczeństwie grożącym. Woda wdzierała się gwałtownie w ulice, szarpiąc brzegi, porywając całe budynki, jak wojskową pływanię i zakład kąpielowy przy wyspie Zofii, przerwała most pontonowy, zatapiając kilkudziesięciu żołnierzy z officerem, znajdujących się na tym moście. Musiano opróżnić kilkaset domów, do których wdzierał się rozszalały żywioł; piwnice „Narodnego divadla“ zapełniły się wodą, podmywając fundamenta, zalewając maszyny elektryczne, ulice zamieniły się w spienione strumienie, po których łodzie pionierów z nadludzkim wysiłkiem sterników i wiosłarzy uwijały się, niosąc ratunek zagrożonym mieszkańcom.

Największy cios zadała powódź stolicy, obalając starożytny most na Wełtawie, który tam na ciosowych arkadach w roku 1357-ym wznosił Karol IV-ty; był to jeden z najstarszych mostów w Europie, stał przeszło pięćset lat, a około pięćset metrów miał długości.

Z niego-to król Wacław rozkazał strącić w nurty rzeki św. Jana Nepomucena, według jednych 20 Marca 1393-go, według drugich 29 Kwietnia 1383-go roku.

W temsamem miejscu, na którym wykonano wyrok srogiego króla, który znowu według jednych mścił się na kanoniku kapituły za sprzyjanie arcybiskupowi, będącemu w pewnym zatargu z monarchą, zaś według drugich śmiercią ukarał spowiednika swej małżonki za to, że nie chciał zdradzić tajemnic spowiedzi, — postawiono bronzowy posąg świętego patrona Czech.

Dziś po raz drugi spadł w nurty tej samej rzeki czczony męczennik, a z nim przeszło trzydziści osób i kilkanaście wozów i powozów, przejeżdżających właśnie przez most w chwili katastrofy.

Żałoba okryła wiele rodzin w nieszczęsnej Pradze.

Oprócz Wełtawy wszystkie prawie rzeki wystąpiły ze swoich łożysk, szerząc klęskę i spustoszenie w wielu okolicach, porywając nieposprzątane zbiory w polu, rozwalając domowstwa, grzebiąc w nurtach ludzi i bydło.

Z Austrii właściwej niemniej groźne napływają wieści.

W Szwajcaryi w okolicy Ragaz podmyta skutkiem wylewu góra runęła przy ujściu rzeki Taminy do Renu na przestrzeni 40 metrów i zasyłała słynne tamtejsze źródła lecznicze.

Jak widać z tego, przeżywamy czasy klęsk nadzwyczajnych i niespodzianych w Europie, a do prośby powtarzanej tak często: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas, Panie“ — należałoby dodać i od „rozszalałych żywiołów“.

Kiedy gdzieindziej woda przynosi klęski, u nas ogień ją szerzy. Do liczby pożarów wielkich dodać trzeba pogorzel powiatowej Białej w gubernii siedleckiej. W ostatnich dniach Sierpnia miasteczko to stało się pastwą płomieni; około sześćset rodzin pozostało w niem bez dachu, chle-

ba i odzienia. Komitet ratunkowy wydał odezwę do serc dobroczynnych i wszystkie redakcyje upoważnił do zbierania ofiar, które mają być nadsyłane na ręce członka — kassyera tegoż komitetu, p. Romana Mossakowskiego.

Nędra byłaby straszna hydrą zniszczenia, gdyby miłosierdzie i ofiarność ludzka nie miały na nią zaklęcia, które, jak miecz obosieczny, ścina odrastającą jej głowę...

Pierwsze wieczorne i poranne chłody, wiejące zapowiedzią jesieni, przejmują dreszczem, nie tylko na wspomnienie zimy, ale i tej biedy bez ratunku, która zalawionem okiem upatruje pomocy i pociechy a drżącymi wargami szepece prośbę o wsparcie.

Trzebaby mieć tę zaczarowaną kieskę, w której zawsze grosz się odnawiał, aby każdej wyciągniętej ręce dać jałmużnę. Najsmutniejszą mam chwilę, gdy się do mnie zgłasza jakiś biedak, a pomóż mu nie mogę. Tak często, niestety, zdarza mi się to w ostatnich czasach!.. Przed kilku dniami zapukał do moich drzwi młody chłopak, syn prostego wyrobnika i przyniósł mi na pokaz swoje obrazy malowane olejnymi farbami. Nikt go nie uczył pędzlem władać, ani farb dobierać, ani rysować; wrodzony jakiś instynkt artystyczny kierował ręką i stworzył rzecz zadziwiająca. Z rycin w ilustracyach naszych brał wzory, powiększał je i kopiował na płótnie.

— Czegoż ty chcesz, moje dziecko? — spytałem go ze współczuciem.

— Chciałbym się uczyć, proszę pana.

— Do szkoły chodziłeś?

— Skończyłem dwie klasy, ale nie mogę dłużej chodzić, bo ojciec nie zarabia, a matka chora. Każą mi iść do terminu.

— No, i czemuż nie idziesz?

Zarumienił się, oczy spuścił, posmutniała mu dziwnie drobna twarzyczka i odrzekł po chwili cichym głosem:

— Bo chciałbym być malarzem, proszę pana; do terminu to już w ostateczności pójdę, z biedy, jeśli mi nikt nie pomoże.

Przypomniałem sobie, że dnia poprzedniego była u mnie młoda jeszcze, wynędzniała kobieta, która przyniosła mi olejny portrecik Kraszewskiego i ze łzami w oczach prosiła, aby go nabyć „za co bądź“, bo w domu sparaliżowany mąż z łóżka się nie podnosi i z największym wysiłkiem w pokręcone palce bierze od czasu do czasu pędzel, by resztkami starych farb wymalować jakiegoś bohoma i posłać ją na miasto spieniężyć u miłosiernych osób tę wymuszoną pracę paralityka, który był niegdyś artystą; przypomniałem sobie, że noszę list drugiej żony malarza z prośbą o protekcję i poparcie jej, jako krawcowej i szwaczki, bo „jak panu wiadomo — pisze — mąż mój od kilku miesięcy znajduje się w domu obłąkanych, a pozostawiona bez wszelkich środków do życia muszę własną pracą zarabiać na kawałek chleba“.

Przypomniałem sobie tych biedaków tyłu, którzy dla sztuki chcieli ponieść ofiarę swego życia, talentu, zapału i zamiłowania, a kładli się przedwcześnie w grób wycieńczeni, lub o suchym kawałku chleba idą swoją ciernistą drogą, i do mego samouczka z zasmuconą miną rzekłem:

— Moje dziecko, pomógłbym ci najchętniej, gdybym był sam zamożnym, ale jedną tylko dobrą radę dać ci mogę: idź lepiej do terminu i posłuchaj swego ojca; zamiast napierać się do malarstwa, zostaniesz z czasem dobrym rzemieślnikiem i nie będziesz cierpieć głodu, gdy potrafisz pracować w swoim zawodzie.

— Eh, proszę pana — odpowiedział mi niedowierzająco — albo to prawda.. mój ojciec jest dobrym zdunem i siedzi bez roboty, a chleba ma tylko tyle, co gdzie kawałek zarwie.

Widać mu było z oczu, że malowałby chętnie — o głodzie.

Przyrzec mu musiałem w końcu, że się postaram dla niego o środki do nauki, ale czy mi się uda? — Bóg to raczy wiedzieć.

Mecenasów u nas tak mało a sztuka rośnie, jak ptak niebieski albo lilia polna, żywi się powietrzem i rosą, cudem niemal istnieje i wzlata coraz wyżej, coraz piękniej rozkwita.

Już to w ogóle niezbyt hojni jesteśmy w dostarczaniu środków i pomocy tym wszystkim, którzy pragną kształcić się w szlachetniejszym kierunku, szukają nauki i „z ostateczności tylko gotowi iść do terminu“.

Corok wzrasta u nas liczba młodzieży, żadnej wykształcenia, cisnącej się do szkół, i tak już przepelnionych, żywiącej wyższe aspiracje i ambicje; corok patrzymy na to, ubolewamy na początek każdego kursu szkolnego, ale niewiele staramy się temu zaradzić.

Prywatnych zakładów naukowych mamy dużo, jednak nie wystarczają one na wzrastające potrzeby, a nadto dla uboższej młodzieży są zawsze jeszcze za drogie i zamało przystępne. Jeśli nauka nie może być zupełnie bezpłatną, powinna być jaknajtańszą, zwłaszcza w kraju, w którym kwestya oświaty jest jedną z najważniejszych spraw żywotnych.

„Kuryer Poranny“, wspominając o tegorocznym napływie kandydatów do szkół, zwraca się do panów przełożonych prywatnych zakładów naukowych i pensjonatów, wzywając ich, aby dla celów tak ważnych zrobili pewne ustępstwa i zniżyli opłatę. Dochody im się wyrównają, gdy większą ilość uczniów dopuszczą, a sprawa oświaty zyska na tem.

Łącznie niejako z tą sprawą pomocy dla uczącej się młodzieży stoi inna, mianowicie sprawa pomocy dla samych nauczycieli, zwłaszcza dla tych, którzy sterali zdrowie i siły w zawodzie wychowawczym. Przed laty dziesięciu nieboszyk Jan Papłoński, dyrektor instytutu dla ociemniałych i głuchoniemych, mecenas Roman Wierzchlejski wspólnie z profesorem Walentym Miklaszewskim opracowali ustawę kasy przeznaczonej i zapomogi dla nauczycieli i nauczycielek prywatnych; do zawiązania wszakże stowarzyszenia wspólnego nie doszło.

Nauczycielki na własną rękę utworzyły dla siebie przytułek, który, co prawda, nie rozwija się

tak pomyślnie, jakby sobie tego życzyć należało, ale bądź co bądź istnieje i może w pomyślniejszych warunkach, przy większym poparciu najbliższej interessowanych spełniać będzie w przyszłości lepiej swoje zadanie.

Nauczyciele prywatni zaś pozostali na łasce Opatrzności i liczą Bóg wie na co; myśląc o drugich, zapomnieli chyba myśleć o sobie.

Poczcziwie też zrobił p. Wojciech Górski, przełożony znanego dobrze zakładu naukowego dla młodzieży płci męskiej, że pomyślał o doli swoich towarzyszy pracy i zawodu i postanowił wytworzyć fundusz w przyszłości, zahypotekowany tymczasem na dobrem sercu i sumieniu swoich uczniów. Oto zobowiązuje on już od roku wszystkich tych, którzy w jego zakładzie korzystają z rozmaitych ulg w opłacie, lub całkiem darmo naukę pobierają, aby się uważali za dłużników, nie zakładu, ale tych wszystkich, którzy nad wykształceniem ich pracowali.

Gdy dojdą do czegoś, znajdą kawałek własnego chleba, zajmą jakieś niezależne stanowiska, niechże pamiętają, że stało się to przy pomocy udzielonej im w młodości, na ławie szkolnej, i wówczas jeśli nie cały, to część dawnego długu spłacą na fundusz pomocy dla podupadłych nauczycieli. W zakładzie p. Górskiego corocznie pewna liczba uczniów uwalnianą jest całkowicie, a większa jeszcze w połowie, od wpisu szkolnego; obecnie przeto ta ulga przybrała cechę pożyczki w rodzaju honorowego długu, który ma być w przyszłości uiszczony na cel tak szlachetny i ludzki.

Zapewne, że trzeba być optymistą, aby sobie z tego źródła znaczne kapitały obiecywać; ale gdyby wszystkie zakłady przyjęły taką zasadę, wszyscy uczniowie uwalniani corocznie od opłaty wdrożyli sobie w pamięć tego rodzaju zobowiązanie, — owa moralna hipoteka mogłaby w rzeczywistości dawać realne dochody, a młodzi ludzie, wzrastając w tem poczuciu honorowego dłużnictwa, przywykliby do myśli uczciwej i w danych warunkach staraliby się jej zadość uczynić.

Niechby tylko pewna część poczuła się kiedyś do tego obowiązku rzetelności, już znalazłby się corok fundusz narastający, z którego mogliby czerpać pomoc dla siebie starzy i spracowani nauczyciele.

Dotychczas zdarzały się, wprawdzie rzadko, takie wypadki z dobrej woli. Przed rokiem slyszalem o pewnym młodym człowieku, który przysłał kilkaset rubli na książki i skrypta dla uczącej się młodzieży, jako zwrot długu, który sam niegdyś zaciągnął, gdy jako ubogi student otrzymywał ulgi w opłacie wpisu i zapomogi pieniężne.

Rozumie się, że potrzeba w takim dłużniku uczciwej z gruntu i szlachetnej natury; zadaniem jednak właśnie pedagogii jest kształcenie, nie tylko inteligencji, ale i charakteru, nie tylko umysłu, ale i serca.

W tych czasach ogólnej niewiary w lepszą część ducha ludzkiego, w czasach pesymizmu, które wytorzyły *la bête humaine* i dopatrują się tylko z pewną lubością zwierzęcia w człowieku, mają uwagę głównie dla ujemnych objawów życia, zdarzają się jednak wyjątkowe przykłady dodatniej natury, które moralnie krzepią i do dobrego zachęcają.

Przed kilku tygodniami „Kuryer Warszawski“ przyniósł właśnie taką wiadomość o pewnym synu nieszczęśliwego bankruta, który przed kilkunastu laty na przedsiębiorstwach niepomyślnych stracił, nie tylko cały swój majątek, ale i fundusze obcych ludzi, a potem w rozpacz życie sobie odebrał; syn opuścił kraj, wziął się na obczyźnie do pracy, dorobił się majątku i teraz, przez pamięć dla ojca, po tylu latach pospłacał wszystkie jego długi, wynoszące około 40.000 rubli.

Osoba przez niego uprawniona zajmowała się właśnie likwidacją tych zaległości, uważanych oddawna przez samych wierzycieli za przepadłe; jednego z nich poszukiwano aż przez gazety, byle tylko z pamięci nieboszczyka zdjąć wszystkie ciężary i imię jego, najdroższą spuściznę po każdym ojcu, oczyścić ofiarą syna.

Rzeźwiew się robi na sercu w tej zadusznej atmosferze naszych czasów, gdy się słyszy o tego rodzaju fakcie, odbijającym tak bardzo od ciemnego tła zbrodni, nadużyć, przewrotności, spaczonych pojęć, zanikających uczuć obowiązku i poszanowania ideałów.

Przechwalana praktyczność naszej epoki, pod której hasłem wychowywało się ostatnie pokolenie, zatarła różnice własnych i cudzych interesów, wyższych i niższych celów życia, godziwych i niegodziwych środków do ich dopięcia, zmaterjalizowała dusze, zniżyła do poziomu brzucha i kieszeni wszystkie niemal szczytniejsze i szlachetniejsze hasła ludzkości.

Nic dziwnego, że się zanosi teraz na reakcją i musi się na nią zanosić, jeżeli nie mamy dojść do moralnego bankructwa.

W tej ważnej i żywotnej sprawie znalazłem bardzo rozumny i treściwy artykuł w jednym z ostatnich numerów „Kraju“ o „wiedzy, jako potędze społecznej“.

Autor zastanawiając się nad błędem coraz więcej pojmovaniem inteligencji u nas, rozbiera kraciwe zbyt kierunku wychowania i wykształcenia pod firmą teorii i praktyki; wykazuje, jak niesłusznie jedna zbyt jest lekceważoną, a druga z nadto przecenianą i zalecaną, jak należy przywrócić między nimi zachwianą równowagę i samej wiedzy poświęcić więcej miejsca w wychowaniu domowym, zidealizować atmosferę serca i umysłów, w której rośnie dzisiejsze młode pokolenie, nie stawiać mu ciągle przed oczyma tych najbliższych, poziomych, materialistycznych celów, nie podciągać wszystkiego pod miarę kupieckiej praktyczności, ale otworzyć dla umysłów, dla duchów, dla serc szersze horyzonty, aby w tem zasklepieniu codziennego żywota nie zmarniały piękniejsze strony natury ludzkiej.

Jest to widoczny dziś zwrot do potępianego bezwzględnie idealizmu, który nie potrzebuje wpadać w dawne swoje błędy i pomyłki, ale powinien wmieszać się, jako równowaga, jako siła odciągająca od zbytnej a zgubnej krańcowości prowadzącej Ludzkość do zupełnego zmaterjalizowania, zbydlęcenia, wynaturzenia się ze szlachetniejszych instynktów i pożądań.

W ciągu lat kilkunastu nie pierwszy raz piszę na tem miejscu w tym samym przedmiocie, ale dzisiaj z większą otuchą i pociechą wracam do tego tematu, czując, że głos mój nie jest odosobnionym, i że coraz więcej i coraz śmieiej odzywają się owe hasła reakcji, nawet z obozów, które nie zawsze im hołdowały.

Excelsior!... rozbrzmiewa znowu nawoływanie z rozmaitych krańców i przez gęste, szare, wilgotne mgły naszej epoki przeblyskiwać zaczynają promienie nowej jutrenki duchów...

Jakkolwiek „nie samym chlebem człowiek żyje“, o czem świat coraz więcej chciał zapominać — trzeba dla tego chleba mieć szacunek i staranie nieustanne, bo on jest niby paliwo w tej machinie, przy której duch jest maszynistą, regulując jej działalność i kierując nią z samowiedzą do pewnych celów.

Będzie to przeskok dość śmiały, jeśli od takiego tematu, jak idealizm w wychowaniu, przejdę do tanej kuchni i do jedynego spożywczego stowarzyszenia u nas.

Tanią kuchnię, trzecią z rzędu, otwarto przy ulicy Czerniakowskiej ze składek dobroczynnych właścicieli fabryk w tej dzielnicy miasta i funduszu, użytego na własne ryzyko przez zarząd tych dobroczynnych instytucyj.

Nowa jadłodajnia urządzoną została głównie dla klasy robotniczej i odrazu zyskała sobie znaczną liczbę stołowników, którzy za tanie pieniądze dostają zdrowe, smaczne i wcale obfite pożywienie; wspominałem zresztą już o tem. W uzupełnieniu tylko tej wiadomości dodać muszę o dobrej innowacji, zaprowadzonej przez niektóre fabryki, a godnej naśladowania w celu ułatwienia robotnikom stałego żywienia się w tanej kuchni bez przerw spowodowanych... pustkami w kieszeni.

W kilku fabrykach postanowiono wydawać *a conto* „fircentagu“ bilety obiadowe i należność za nie strącać przy dwutygodniowej opłacie.

DZIECI Z SUTERYNY

przez

BRONISŁAWA GRABOWSKIEGO.

OBRAZEK Z ŻYCIA.

Sąsiadowi i sąsiadkom z suteryn

poświęca

AUTOR.

Z bramy dwupiętrowej kamienicy wybiegła panna Zofia Kotleńska.

Na ładną, delikatnie wyrzeźbioną twarzyczkę pada cień od wielkiego, fantazyjnym zwanego kapelusza; *zakleta* t. j. właściwie kaftanik, obramowany czarnem futerkiem, obejmuje wysmukłą kibić, a zpod zakłaty spływa, zgrabnie uszyta sukienka, długa wprawdzie, ale bynajmniej nie zasłaniająca małych nóżek.

Panna Zofia pokręciła główką w jedną i w drugą stronę, niby ptaszek na gałęzi, snadź ogląda się za kimś. Ten ktoś zarysował się w głębi sieni w postaci leniwo kroczącej z koszykiem służącej.

W tem panna Zofia uczuła jakiś ruch około prawego rękawa i ze zdziwieniem spostrzegła sześciolletnią, drobną dziewczynkę, która wspina się na palcach, aby pochwycić jej rękę, końcami palców tylko wsuniętą w niewielką, elegancką mufkę.

Za dziewczynką garnie się do pocałowania ośmioletni chłopiec, trzymający oburącz małe bobie, zawinięte w dużą chustę, że mu tylko dwoje oczu zpod niej wygląda. Czterolletnia dziewczynka, zebrawszy wszystkie siły, pędzi na krzywych nóżkach, a do kompanii śpieszy wychudzony bury psiak, z zapalem wymachując ogonem.

Te ceremonie powitalne powtarzały się dość często od niejakiego czasu; panna Zofia, wchodząc do bramy lub wychodząc z niej, zazwyczaj obskakiwana była przez tę czwórkę, śpieszącą do złożenia hołdu. Najczęściej odprawiała ją obojętnie, czasem niby na odepnę dawała im parę jabłek lub kawałek piernika, a zawsze broniła ręki od pocałunków, może przez instynktową obawę, aby dzieciaki czystej rękawiczki nie posmolili.

Dziś wszelako spojrzęła uważniej na hołdowników swoich. Tknął ją widok bladych twarzątek z niebieskimi oczyma. Szczególniej u dziewczynki oczy te mają błękit najciemniejszego wśród zboża bławatka, a przystem dziwnie odbijają przy twarzyczce, na której przez delikatną skórę można dojrzeć gęstą siatkę żyłek i żyłeczek.

— Czyje to dzieci? — zapytuje zgarbionej, zgiętej, niby nawpół przełamanej staruszki, która nie opodal stoi pod murem.

— To Józefa, stróża.

Wykwintna panienska znowu przygląda się dzieciom. Na dziewczynce spostrzega sukienkę popękaną na plecach, tak, iż przegląda koszulka, a nawet ciało, białe z żyłkami niebieskimi.

— Jak ci na imię, mała? — pyta panienska.

— Kasia.

— Czemu nie ubierzecie jej w całą sukienkę? Dziecko zaziębi się jeszcze.

Pytanie to zwrócone jest do staruszki pod murem.

Panna Zofia domyśla się, że to musi być babka owego pędractwa.

— Moja panienczko droga — odpowiada stara — a zkądże to wziąć całej sukienki?

— To przynajmniej załatajcie dziury.

— I łatanie nie pomoże. Dziewucha rośnie, że jej sukienek nie nastarczy. Rozłazi się to na nitki, jakby kto rozpychał, nawet lata trzymać się nie ma czego.

W ten sposób robotnik nie potrzebuje być głodnym lub zapożyczać się na lichwę; gdy mu nie starczy gotówki, nie potrzebuje po szynkowniach szukać kredytu i ulegać pokuszeniom butelek i kieliszków, błyskających ku niemu ze szynkwasu.

Gdy zażąda, dostanie od kassjera markę, za którą w taniej kuchni zastawiają mu obiad; ta dogodność okazała się praktyczną i przez robotników pożądaną.

Ma ona nadto swoje moralne wpływy: przyzwyczajają do porządnego, higienicznego żywienia się i unikania miejsc niezdrowych dla żołądka i kieszeni klasy pracującej.

O „Merkurym“ co półrocznie, trzeba niestety, mówić z ubolewaniem; interessa jego nie rozwijają się, liczba członków trzyma się w mierze i nie wzrosła, obroty w sklepach stowarzyszenia maleją.

Co dziwna, że większy ruch sprzedażny zawdzięczać stowarzyszeniu to musi niestowarzyszonemu, niż swoim członkom, którzy przeciętnie nawet za trzydzieści rubli marek nie puszczaają w obieg przez pół roku.

Zachodzi pytanie: po co właściwie należą do „Merkurego“, skoro tak mało korzystają z praw i przywilejów członkowskich i, wbrew wł. snym interessom, nie starają się o zwiększenie dochodu i zysków, które idą na ich własną dywidendę?

Jest jakaś widoczna zaporą w tem stowarzyszeniu, jakiś błąd organiczny w administracji, które nie pozwalają rozszerzać się tej instytucji przedsięwziętej, opartej, jak się zdaje, na najpraktyczniejszej zasadzie oszczędności i wzajemnego pożytku.

Zamało korzyści, zamało zachęty daje to stowarzyszenie spożywcze swoim członkom, nie wyróżniając się od innych sklepów z wiktuałami; nie umie lepiej współzawodniczyć ze zwykłymi handlarzami pod względem cen i dobroci towaru; i to zapewne przyczyna, że nie zyskuje więcej zwolenników.

Należałoby więcej kupieckiego sprytu wprowadzić do administracji, gospodarować praktyczniej, z większą dbałością o cele towarzystwa i interessa wszystkich, nie pojedynczych tylko członków, rozruszać się postarać o lepsze wyniki tej gospodarki.

Jak to zrobić, nie moja rzecz, tylko zarządu i stowarzyszenia, które liczy wśród swoich członków zapewne praktycznych ludzi, obeznanych lepiej od wielu innych z tego rodzaju przedsięwzięciem.

*

*

*

Na zakończenie powinienem koniecznie wspomnieć cośkolwiek o samej Warszawie, która powoli staje się już ruchliwszą i ludniejszą; jesienne słoty wyplaszają letników z willegiatury, wędrownie jaskółki wracają na zimowe leże, po ulicy roi się od granatowych mundurków i uczniowskich szynelów, do piwnic zwożą kapustę i kartofle, na straganach owocerek melony, arbuzy, śliwki i winogrona wabią smakoszów, afisze coraz mniejszą listę urlopowanych artystów i artystek wymieniają — a zatem, stanowczo zaczęła się jesień, mimo to, że chodzimy w letnich jeszcze okrywkach i że w ogródkach wytrwale „Siedmiu szwabów“ popolsku a „Petit Duc“ po francuzku dzwonią zębami na przejmującym chłodzie.

Letni teatr w Ogródku Saskim, wraz ze swoim drewnianym futerałem, zapełnia się teraz trochę więcej; publiczność przychodzi się przekonywać, czy będzie mogła jeszcze w Grudniu słuchać w nim opery i patrzeć na balet, bo według ostatnich wiadomości, przed Nowym Rokiem nie będziemy mogli wrócić do Teatru Wielkiego.

Ale zato po Nowym Roku...

Po Nowym Roku, zobaczymy dopiero, co będzie, gdy się szczęśliwie da ukończyć, w połowie przynajmniej, prowadzoną przebudowę. Nie można uprzedzać wypadków.

Quis.

Służąca z koszykiem przestępuje z nogi na nogę.

— Adyć, chodźmy już, panienko — mówi — bo jeszcze nam sklepy zamkną przed nosem. A wy, dzieciaki, ruszajcie sobie, nie naprzykrzajcie się.

Rzeczywiście dziś Piątek, godzina... blisko czwarta po południu, a ponieważ to koniec Listopada, ani obejrzyś się, jak w wieczór sobotowy sklepy ci przed nosem pozamykają.

Dla panny Zofii rozpoczyna się ważny okres w roku: doba przygotowań do świąt. Jeszcze była małą Zosią, a raczej Zosienką, kiedy w końcu Listopada rok w rok przypominano jej, że należy na święta sprawić lalkom nową wyprawę, aby przecież w dzień uroczysty i *córeczki* wystąpiły odpowiednio do tak wielkiego święta. Prawie cały miesiąc Zosienka krajała, szyła, obrębiała, haftowała pod nadzorem mamy, która tę zabawkę poczytywała za wielce korzystną naukę... krawiecczynę.

Już Zosienka wyrosła na dziesięcioletnią Zosię, a jeszcze popisywała się w dzień Bożego Narodzenia przed gośćmi toaletą swoich córeczek. Pani, zajądające wyborne strucle, pieczywa pani Kotleńskiej, brały po kolei do ręki półtorałokciową Pamelkę i przyznawały jednogodnie, że w najpierwszym magazynie nie potrafiłoby lepiej ustroić, nietylko lalki, ale nawet panny dorosłej.

Tylko owdowiała pani sędzina, opiekunka ochrony miejskiej, z właściwą sobie szorstkością zakłócała harmonię tych zgodnych pochwał.

— To dobrze — mówiła — że panienska szyje już niezgorzej, ale, dalibóg, właściwiej byłoby, żeby na święta zrobiła sukienkę dla jakiego biednego dziecka, aniżeli co ma stroić kawałek martwego drewna.

Dysonans ów miał taki skutek, że Zosia na drugi rok na święta dwie sukienki posłała pani sędzinie, która urzędowała w ochronie choinkę dla biednych dzieci. Materiał przyniosła matka, skroiliła, sfastrzygowała, a pensjonareczka trochę na maszynie — znowu przy pomocy matki — trochę igielką w rękę uszyła sukienki, że wyglądały jakotako. Z każdym rokiem wyrób filantropijny zyskiwał na dokładności w obrobieciu. Teraz, kiedy Zosia po ukończeniu pensyi awansowała na pannę Zofię, kiedy włożyła już długą suknię i ma przyobiecany bal w resursie, trzeba popisać się swoją sztuką przed... paniami filantropkami, które nietylko przyjmują dar wdzięcznym sercem w... imieniu ubogich, ale jeszcze poddają go bardzo ścisłej krytyce.

I kupno materiału pozostawiono jejsamej — jest to próba samodzielności pod względem sprawunków. Może wypadłaby niezbyt fortunnie, ale służąca zrobiła użytek ze swego głosu doradczego i — jak powiada — nie pozwoliła oszukać panienki.

Już mrok ogarniał ziemię, gwiazdy na niebie zapalały się jedna po drugiej, gdy panna Zofia wraz ze służącą wracały do domu, obie rozpromienione, snadź rozkoszujące się myślą o dobrem kupnie dzisiejszem. W bramie stoi jeszcze czwórka dziatwy, a pannie Zofii wydaje się, że dzieciaki drżą od zimna, lubo tegoroczny Listopad jest tak ciepły, że może śmiało przedrwiwać sobie ze świętej pamięci Października.

Nazajutrz obie Kotleńskie, matka i córka, zabrały się do krajania kupionego wczoraj perkalu. Córka rozpostarła materiał na stole, a matka, wyszukawszy jakiejś formy, zaczęła kredą rysować na nim napozór tajemnicze, ale dla kobiet zawsze zrozumiałe figury.

— Moja mamo — powiada naraz panna Zofia — po co my mamy szyć dla jakichś nieznanomych sobie ubogich, kiedy takichsamyh, a może większych biedaków znajdziemy tuż obok siebie... w naszym domu?

Pani Kotleńska opuszcza nożyce i z podziwieniem patrzy na córkę.

— Ależ, moja kochana — mówi — nie zapominaj, że sędzina liczy na nasze sukienki napewne.

— Poślemy jej kilka rubli — będzie wolała nawet. A tutaj są biedne dzieci stróża, obdarte, drzące od zimna... przecież i im się przyda ubranie na święta.

Pani Kotleńska pokręciła głową, ale nie sprzeciwia się zamiarowi córki. Główna rzecz — wprawa w krawieczyznę, a już czyje plecy okryje to ćwiczenie krawieckie, w istocie wszystko jedno. Sędzina weźmie pieniądze z ochotą, przecież zawsze się o nie przymówi.

Karolowa przyprowdza dzieci do miary. Idzie biedactwo nieśmiało, trwożnie, jak na stracenie. Panna Zofia dziwi się, że ktoś, co zajmował się garderobą tego maleństwa, uszył na starszą dziewczynkę za ciasną sukienkę, a na młodszą za obszerną — nawet jej przez myśl nie przeszło, że w tem tkwią trochę inne przyczyny aniżeli... źle wzięta miara.

II.

Robota nad podarunkiem gwiazdkowym idzie zwawo, maszyna Singera aż warczy, a panna Zofia, przyglądając się swemu dziełu, uśmiecha się na myśl, jak ono będzie ładnie wyglądało na... żywych laleczkach.

Przechodząc przez podwórze, spotyka bladą, wynędzniałą kobietą z wielkimi niebieskimi oczyma, z dzieckiem na ręku. Biedactwo przystępuje do panienci, aby pocałować ją w rękę. za nią do pocałowania podąża dwoje dzieciaków, a z nimi razem przyskakuje chudy bury pies, wymachujący zwawo ogonem.

Panna Zofia obejrzała się; starszej dziewczynki nie było.

— A gdzie Kasia? — pyta kobiety, zgadując, że to jest matka drobiazgu.

— Leży chora, wielmożna panienko. Już piąty dzień nie podnosi się z łóżka, nic a nic jeść nie chce.

— Proszę was, niech mi się dziewczynka przed świętami wychoruje, bo na wilią musi ubrać się w nową sukienkę.

Stróżka znowu całuje wielmożną panienkę w rękę i odchodzi smutna, zgnębiona. Nadzieja nowej garderoby nie wycisnęła na bladej twarzy nawet słabego uśmiechu zadowolenia.

Rozmowy tej wysłuchiwała jakaś inna kobieta, również blada, również wynędzniała.

— Gdzie ta wykuruje się ona — mówi z cierpim uśmiechem — już ta nic z niej nie będzie! Leży tylko, gorączkę z niej aż bije, a ona chudziałek ledwie zipie.

Panna Zofia zatrzęsała się.

— Jakto? Więc dziecko tak niebezpiecznie chore?

— A juźci, panienko — odpowiada obca kobieta. — Mój stary jej się ta przyjrzał.. powiada, że z niej nic już nie będzie... a on się ta zna na tem.

Panienska stoi osłupiała... nie może pojąć, że ludzie ci niewątpliwie dziecka żałują, a jednak z tak lekkim sercem zgodzili się na... wyrok jego śmierci. Czy to rezygnacya, czy twarda obojętność?

— Zawołajcie-no Karolowej — powiada.

Wkrótce przyszła stróżka.

— Słuchajcie, Karolowa. Co doktor o Kasi powiedział? Tylko mówcie na prawdę, bo ta kobieta tam coś o tej chorobie gadała...

Stróżka patrzy ze smutnem zdziwieniem na panienkę.

— Doktor co powiedział? U nas ta żadnego doktora nie było.

— Jakto? Przecież to poważna choroba..

— Gdzie nam ta, biednym, myśleć o doktorze?! Doktorowi trzeba pieniędzy... Ale co baby doktorki, to te powiedziały, że ją ta już nic nie wylekuje.

— Co to za baby doktorki?

— A no, ta Jasiowa zpod kościoła i ta... kulawa Marcinka z przedmieścia... A one baby... probantki, świadome wszystkiego. Jak ci wezmą na oko, to zara powiedzą, czy się chory na tę, czy na tamtą stronę wychoruje.

I stróżka lży ociera, ale te płyną coraz obfitszym potokiem.

Pannie Kotleńskiej wszystko to w głowie się nie mieści.

— Nie, nie, moja Karolowa — powiada — tu doktor jest koniecznie potrzebny.

— Alboż to doktor przyjdzie do takich jak my biedaków? Doktor to tylko jest dla panów, co mu dobrze płacą. Oj, bieda dla biednych, moja panienko, i tyła.

I stróżka odeszła, a do panny Kotleńskiej doleciało echo stłumionego, ale niemniej bolesnego łkania.

— Karolowa! — woła panna Zofia — Karolowa! Wezwijcie doktora, ja mu za wizytę zapłacę.

Stróżka obejrzała się i odeszła, nie mówiąc ani słowa.

Panna Zofia wchodzi do kuchni, poczerwieniała i niespokojna.

— Moja Anastazyo — mówi do służącej — idźcie po pana doktora Malczewicza; poproście, żeby tu przyszedł.

— Ola Boga! A któż ta znowu zachorował? Czy może pan starszy? Albo pani starsza? A może paniencie co się stało?

— Nic... nic... nic się nikomu nie stało. Tylko ta mała Kasia od stróżki!..

— Eh, Kasia od stróżki!..

— Bardzo chora... powiadam ci... niebezpiecznie chora...

— Eh, obejdą się ta bez doktora.

— Jakto? Przecież!..

— Moja panienczko, oni ta doktora nie zwyczajni! U nich to tak. Ma się wykurować, to się wykuruje samo, a... jak się ma na umarcie, to już i doktor nie pomoże.

Panna Kotleńska osłupiała; takie rozumowanie słyszy po raz pierwszy w życiu, a przecież już przestała nosić krótkie sukienki.

— Nie, nie, nie gadajcie mi nic takiego — mówi — nie chcę słyszeć o niczem... Idźcie mi natychmiast po doktora, a powiedzcie mu, że wszystkie koszta biorę na siebie.

Anastazya mruczy coś pod nosem, ale zabiera się i wychodzi.

Panna Zofia nie może usiedzieć na miejscu, niespokojnie przenosi się z krzeselka na krzeselko, a nadstawia ucha, czy nie skrzypną drzwi od kuchni.

Anastazya powraca.

— Proszę cię, mówi panna Kotleńska — poproś pana doktora, aby był łaskaw wstąpić od chorej do nas na chwilę.

— Pan doktor powiedział, że napisze paniencie wszystko, wszystko co do joty.

Rzeczywiście w kilka minut przychodzi stróżka i przynosi bilet doktora Malczewicza. Na bilecie napisane ołówkiem następujące słowa:

„Trop tard. Nulle espérance. Demain mort certain.

Panna Zofia struchlała. Zbiera wszelako siły, aby nie okazać nic po sobie. Żal jej strapionej matki.

— Czy doktor zapisał lekarstwo? — pyta.

— Zapisał, tu jest recepta, ale co my biedni!..

— Masz tutaj mój bilet; niech w aptece zrobią lekarstwo i zapiszą na nasz rachunek.

Doktor nie mylił się — nazajutrz zjawiała się zapłakana Karolowa z oznajmieniem, że Kasia nad ranem umarła. Pani Kotleńska na pocieszenie daje jej rubla — zwykła odprawa w takich razach.

Doktor przyszedł po południu. Młody, przystojny brunecik, z brodą *à la* Mierzwinski, w eleganckich paliowych rękawiczkach. — Mówi ze słodkim, nieco ironicznym uśmiechem, zwłaszcza kiedy mowę zwraca do... płci pięknej.

— To jest całe nieszczęście z tym ludem prostym — powiada — że nigdy we właściwym czasie doktora nie wezwą. Każdy z nas chętnie przychodzi do takiego chorego, bezpłatnie... zapisujemy im lekarstwa także bezpłatnie, *pro pauperibus*, ale udają się do nas dopiero wtedy, gdy... już niema rady. I ta dziewczynka byłaby się wyleczyła, ale cóż? Czekali, aż gorączka się rozwinię i mózg został zaatakowany.

III.

Wszyscy wstają od stołu wigilijnego, panna Zofia biegnie do drugiego pokoju, gdzie stary

lokaj zapala świeczki na choince. Pod choinką stoi służąca i rozkłada sukienki.

— Anastazyo, idźcie po dzieci — mówi panienska.

— Nie potrzeba chodzić — one już od godziny czekają w sieni.

Otwiera drzwi, z sieni wchodzi dwoje dzieciaków, trzecie chłopiec niesie na rękę; twarzyczki czerwone, trochę od zimna, a trochę od oczekiwania. Przez uchylone drzwi patrzy Karolowa i jej matka i nawet stróż Karol zarysowuje się w głębi sieni w tajemniczym pomroku.

— Na, macie, dzieci — mówi protekcyjnie Anastazyo — macie, a podziękujcie państwu.

I ona i lokaj i potrosze panienska rozdają z choinki pierniki, ciastka, karmelki, zabawki dziecięce — mała Frania chwytła je w fartuszek, Andrusz opakowuje niemi kieszenie.

Na zakończenie każde dostaje ubranie, Frania i maleńka Różia na rękę po sukience i kaftaniku barchanowym, Andrusz kurtkę ze starego tużurka pana Kotleńskiego i jeszcze jedną sztukę ubrania w dodatku.

Następuje potem ceremonia obcałowania rąk dobroczynnych państwa i obdarowani wynoszą się z pokoju.

— A ty czego tu stoisz jeszcze? — zawołała Anastazyo małą dziewczynkę, która niepostrzeżenie wkradła się do pokoju i spogląda z żalną miną na dopalające się na choince świeczki.

— Idź, idź sobie — mówi lokaj.

(Dokończenie nastąpi)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXXXVII.

Sprawa Clémenceau, sztuka w 5-ciu aktach, a 6-iu obrazach, *Alexandra Dumas'a* syna i *Armanda d'Artois*, z francuzkiego. — Teatr Letni d. 3 Września.

Co za niesmaczna sztuka! — odezwał się głos jakiś z publiczności opuszczającej teatr po przedstawieniu sztuki. Wrażenie dobre, tylko nie trzeba rozciągać go w żądanie sztuki smaczniejszej: Dumas dać-by jej nie mógł. On innych sztuk nie pisze. Jakże tu pisać sztukę smaczną, gdy się przedstawia same istoty brudne i upadłe; dusze robaczywe lub zgniłe, czyny wstrętne, ośrodki życia dyszące zbrodnią, społeczność złożoną z samych wibryonów, — człowieka analizowanego jak zwierzę, krajanego ze wszystkimi brudami na anatomicznym stole medycyny społecznej? Jak żądać od Dumasa, aby pisał rzeczy smaczne, gdy założeniem jego jest właśnie ukazanie światu takich Małgorzat, Cudzoziemek, Jerzowych, d'Angeś, Francillon, takich Alfonsów, Septmonts'ów, — i wszelakiego tałajstwa moralnego; gdy w duchu jego autorskim wygasła wiara w człowieka jako istotę wobec świata zwierzęcego i natury fizycznej niepodległą; gdy rozum przez sofistyczne myślenie spacony podnosić może tylko zadania z ogólnem sumieniem społecznem niezgodne, zdrowemu często rozsądkowi urągające?

Reformator obyczajów, apostoł lepszej przyszłości, w której ludzie żyć będą według natury i — Alexandra Dumasa syna; obrońca wszelakich praw nieuznawanych i gwałconych — przemędkował swój dramatyczny talent; niema już w nim tego, co stanowi najwyższą siłę i najdroższy skarb dramaturga: niema odczuwania duszy jako żywej, żyjącej syntezy żądz, uczuć, nałogów, popędów, myśli i przekonań, interessów i ideałów. Wiele jego sztuk w ciągu całych aktów przypomina broszury rozumowane, a rozumowania w nich są tylko ekwilibrystyką myśli nad przepaścią głupstwa. Najlepsze pisał w samym początku. Podnosił w nich zagadnienia sofistyczne, ale z największem odczuciem, bez analitycznej

szermierki: i dlatego dramaturgia jako pięknotwórstwo w tych najpierwszych sztukach najwięcej zyskała. Im więcej tworzył, tem tworzył gorzej, bo mu mędrkowanie zasłaniało żywego człowieka, którego w sztuce można malować, chwytać, przedstawiać—tylko siłą odczucia. I tak, zniżając swój dramatyczny polot, stawał się właśnie coraz sławniejszym jako dramaturg. Jest to szczęście prawdziwie francuzkie. Dziś grywają Dumas i na lądzie i za morzami, w Ameryce południowej zwłaszcza; grają go w Australii, grają w pałających nienawiścią ku Francuzom Niemczech, tylko nie grają go w Anglii, która jest tak w sobie zamknięta, tak silnie zindywidualizowana, że na co w sobie formy gotowej nie ma, tego wlać w siebie zzewnątrz nie pozwoli. U nas Dumas lat temu mniej więcej piętnaście zaczął się cieszyć powodzeniem i znalazł je w publiczności. Zawdzięcza to wielkim zdolnościom swoim, wybornemu stylowi, dowcipowi, oryginalnemu działwu myśli, naprężaniu wypadków i położeń, wreszcie umiejętności i wprawie pisarskiej. Tem wszystkim zamydla oczy nie tylko publiczności, ale i krytyce; podbija sobie wrażliwość w pierwszej chwili nieopatrzoną, niemającą czasu do namysłu, nagle, jakby z gęstwiny zbójcekiej, zaskoczoną. Na sztukach jego dobrze się wogóle publiczność bawi; ale potrzeba jej tę zabawę przerywać, aby się nie sprzykrzyła.

Czy się bawiła dobrze na *Sprawie Clémenceau*? Nie zupełnie. Trzy pierwsze akty nudziły; dwa ostatnie dopiero zajmowały, bo w nich dopiero rozpoczyna się właściwy dramat, poprzedza go zaś dyalogowana tylko powieść. Cała ta sprawa była pierwiastkowo powieścią, wydaną jeszcze dwadzieścia parę lat temu. Tak obiegła świat, zawitawszy i do nas i przyoblekły się w szaty naszego języka. Dopiero w roku 1887 p. Armand d'Artois przerobił ją na dramat. W Paryżu nie bardzo się ta robota podobała. U nas—szkoda, że jej wcześniej nie przedstawiono; miałyby za sobą jeszcze prawo rzeczy nowej. Już-to wogóle na zbyt ni pośpiech reżysseryi swojej uskarżać się nie możemy. Takie nawet drobniaki, jak *Nieboszczyk Tonpinel*, dobra populanka Bissona, po pół roku na przedstawienie czekać muszą. Czyby nie można prędzej wiedzieć o nowych sztukach w Paryżu i prędzej ich wydostawać, skoro już bez teatru francuzkiego obyć się nie sposób?

Sztuka pp. Alexandra Dumasa i Armanda d'Artoisa składa się z dwóch sztuk. Na mniejszej i dramatycznie wtlejszej ustawiona jest większa i dramatycznie tęższa. W pierwszej poznajemy charaktery rozwinięte w powieści i ośrodki ich rozwoju; w drugiej patrzymy już na ich ruch. Takie ustawienie jednej sztuki na drugiej daje haniebną architektonikę; a wrażenie jakiegoś kalcetwa zwiększa się jeszcze wskutek przerwania ciągłości w głównym charakterze kobiecym. Autorowie, robiąc już tyle dla mechaniki, powinni byli jeszcze urządzić jakąś równią pochyłą, po którejby się Izabella powieściowa mogła z prawdopodobieństwem stoczyć w formy Izabelli dramatycznej.

Dramat właściwy od aktu IV daje się w krótkości opowiedzieć. Kobieta piękna, wychowana na damę kameliową przez kameliową też matkę, Izabella, przykuwa do siebie mężczyznę godnego lepszej miłości. Jest nim rzeźbiarz Clémenceau, który w społecznym byciu swoim zawsze miał i znał tylko matkę. Oczarowany pięknoscią fizyczną, modeluje ją, wciela w posagi,—przepada, tonie, cały przez nią i w niej tylko żyje. Byt ma sam, i żonie swojej zapewnia, nader dostatni; ale Izabella „stworzona“ jest (czytaj „wychowana“) do wyższego szczęścia: potrzebuje zbytku, olśniewającego, uderzającego zbytku. Kocha więc jednocześnie i męża, który ją darzy miłością, i niemęża, dawnego narzeczonego, który ją obdarza krociami. Nieszczęśliwy poznaje zdradę, wspólnika jej rani w pojedynku, a nikczemnicę wyprzedza. Izabella awansuje: jakiś stary książę, niewidzialny w sztuce, czyni ją już teraz milionerką. Łatwiej jej teraz jeszcze kochać młodego Clémenceau. Uczucie to w niej nie wygasło przez rozłączenie i życie wydane na różne experimenty. I on również, osiadłszy w Rzymie, jak asceta na dewocyi wspomnień, kocha, bo nie ko-

chać nie może. Ścigany żądzą Izabelli, śledzony przez jej szpiegów, na wezwanie tajemnicze przyjeżdża do Paryża: mięknie i topnieje i już ma się nanowić połączyć, kiedy żywe przypomnienie niwoli, w jaką się poddała dobrowolnie ta dyablica, obudza w nim gniew, oburzenie moralne i zadróść — i zamiast pić szczęście ze stłuczonej już raz czary idzie Clémenceau jeść czarny chleb więzienia: zabił potwora.

Ten okrzyk końcowy: „Zabiłem potwora!“ jest najlepszym z całej sztuki; ale jest wobec niej nadużyciem, bo Dumas ani w Izabelli nie przedstawił potwora, ani swemu Clémenceau nie dał piersi do takiego okrzyku. Zkąd się w tym wibryonie, jakim jest bohaterka sztuki, kładąca sobie kabały, ciemna i ograniczona i wstydu nawet elementarnego pozbawiona,—zkąd się w tem zwierzętku, w tym niewieściem Kalibanie z aktu III-go wzięło się jakieś odczucie aryzmu, zdolności i przeznaczeń duszy artystycznej Piotra Clémenceau? Naprózno-by kto chciał dochodzić: nie dojdzie nigdy. Izabella jest sobie zwyczajnym potworkiem, jakich bardzo wiele na świecie. Dźwiga na sobie dramatyczne zadanie Piękności jako demona złego; ale siły rzeczywiste ma tylko prostej wietrzniicy. Charakter to w sobie nadzwyczaj ubogi, czczy, maluczki; nic z niszczonego żywiołu natury. Wyżej już stoi jej ofiara, a najlepszą, najrzetelniej prawdziwą w całej sztuce jest matka Izabelli, nikczemnica z najgłębszej kałuży, obok niej zaś Konstanty Ritz—charakter prawy, i dlatego, że prawy, kazał mu Dumas więcej patrzeć widzieć i słuchać, niż działać.

Panna Marcello bardzo świetną stworzyła sobie rolę z Izabelli. W pierwszych dwóch aktach było zawiele ciągłego uśmieszku; w trzecim talent ukazał swą oryginalność: owo zwierzętko było pomyślane doskonale, a wykonane z wielkim zasobem aryzmu i wprawy, w delikatności cieniowania i w nieposzlakowanej jedności tonu. Cała ta Izabella w pierwszej części aktu III-go stanowi studjum artystyczne dla samej artystki nader szacowne. W akcie IV i V pochwalić potrzeba równość gry, spokój, pewność siebie przy nieodstępnej żywości i sile. Pani Niewiarowska ma w Lidyi Paulescu jedną z najlepszych swych ról, a grają tak dobrze, iż kto jej nie widział w *Sprawie Clémenceau*, ten nie ma wyobrażenia o dzisiejszym jeszcze zasobie sił scenicznych tej sympatycznej artystki. P. Ładnowski nie psuł Konstantego. P. Kotarbiński (Piotr Clémenceau) miał dwa momenta dobre: przed wypędzeniem wibryona spod swego dachu i przed zabiciem potwora. Co krzyżane to dobre, co mówione — to nie tak, jak być powinno. P. Nowicki ciągle jeszcze sztywny—figurant salonowy, nie człowiek kochający.

Stanisław Krzemiński.

MIESZCZANKA

z XVI i XVII wieku.

(Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie w XVI i XVII wieku, przez Wład. Łozińskiego. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt 1890 r.)

(Dokończenie).

W ogóle testamenta są główną kopalnią wiadomości dla badania ówczesnych stosunków. Ciekawym jest podobny dokument z 1648 r., zawierający ostatnią wolę pani Janowej Massari, małżonki Wenecyanina, osiadłego we Lwowie, a córki potężnego patrycyuszowskiego domu Szolców Wolfowiczów, którzy niegdyś przybyli tu ze Szlązka i w pierwszym zaraz pokoleniu się rozrodzili w *dwa-nastcie córek i tyluż synów*, tworząc najwyższą arystokrację mieszczaństwa lwowskiego, z mnó-

ztwem powinowactw i związków rodzinnych. Owa mieszcza filozofka rozpoczyna swą ostatnią wolę od rymowanego wstępu treści religijno-moralnej, przypominającego polotem wiersze księdza Baki.

Świat jest rzecz znikoma,
Každy się na nim chwije, jak od wiatru
[słoma.

Co za korzyść, wielki Boże,
Z umarłego czteka być może?

Nie brakuje cudzoziemcem, porwie i Polaka,
Pogania jeden drugiego prawie nieboraka.
Nie ciesz się nikt z cudzej prędkiej śmierci,
Żaden się z tego kresu nie wywierci.

O zmarłym mężu wdowa wspomina bardzo rzewnie i czule, a kończy ustęp poświęcony jego pamięci słowami: „Żyj w Bogu, panie Janie Massari, i ja też przybędę.“

Nie trzeba jednak myśleć, aby badacz, szperający w miejscowych archiwach, samą tylko wonią cnoty oddychał. Nieraz i pieprzniejsze znajduje epizody, skandaliki nawet godne *Dekameronu*, żeby tylko wspomnieć proces upamiętniający romans pani Domagaliczówny Kuhnowej i jej miłosne schadzki z rycerzem Drzewoszem w czasie morowego powietrza, gdy wśród ogólnej śmierci i trwogi miłość ich bezpieczniejszą się mniemała. Albo jeszcze bardzo zabawną sprawę wspomnianego tu już zerwania przyrzeczeń pięknej Nastusi Paparowej. Niektóre epizody domagają się poety, lub dramaturga, jak np. przeniesione z Werony na bruk lwowski dzieje Julietty i Romea, w osobach: syna dra Pawła Kampiana, Marcina, oraz córki zaciętego jego przeciwnika, aptekarza, czyli jak wówczas mawiano, aromataryusza, Abrahamowicza. Przemoc finansowa Kampianów pośpieśno występuje na tle dziejów miasta, z wyjątkiem tego jedynego kwiatu miłości ukształconego na włoskich wszechnicach, Marcina, dla pięknej Elżbiety, którą poślubia, gdy nienawistni ojcowie nie żyją już, aby przekląć zakochanych.

Wyjątkowo znaleźć można w testamentach skargi na złe i niewierne żony. Spotkało to Katarzynę Szymonowiczównę, siostrę poety, na którą mąż wylewa cały potok gniewu i oburzenia, nazywając ją nieuczciwą i nierządną. Lwowianki prawie wszystkie noszą imię Małgorzaty lub Agnieszki, zwąc się w skróceniu Netą lub Gretą. Prócz tych najwykleszych imion, trafiają się tu Zofie, Zuzanny, Elżbiety i Katarzyny, są i Marynki i Baški. Przeświadczone o swej patrycyuszowskiej godności, nikomu nie ustępują one pierwszeństwa, zwłaszcza szlachciankom wciskającym się na ich miejsce w kościele. Ztąd swary i urazy najdrażliwsze, które uwydatniały wrodzoną dumę mieszczek lwowskich. Nietylko z dostatków i stanowiska panie te słusznie się chlubić mogły, ale i słynna piękność zapewniała im przewagę nad światem niewieściem. Kosmopolityczne miasto przez krzyżowanie się ras wytwarzało typ lokalny, niezwykle urodziwy i silny. Składały się na niego polskie, szlacheckie i mieszczańskie, miejscowe, ludowe, niemieckie, włoskie, a wreszcie wschodnie żywioły, z dodatkiem lewentyńskiej *morbidezzy*, która, nie ujmując nic czynnej zabiegliwości, zdłwajała jeszcze urok Lwowianek, opiewanych przez Zimorowiczów Roxolanek. Bujność krwi, z tyłu skrajnych pierwiastków powstającej, jeśli mężczyźni zapewniała silny indywidualizm, w kobiecie zakwitała nadobnością i temperamentem, „swobodną, a szczerą organizacją, która dawała środki i ochotę potem, aby żyć pełnem życiem i używać pełną naturą.“

Ale-bo też jeśli mieszczaństwo lwowskie dopomagały małżonkom w przysparzaniu majątku, to ucześnie żyły również i w nagrodach za wspólną pracę, znoje i zachody. Zdaje się, iż patrycyusze lwowscy mieli szczególne upodobanie w popisywaniu się swymi dostatkami, strojąc bogato swe żony i córki. Nie miały siły wilkierze miejskie wydawane przeciw zbytkowi. Przepych stroju mieszczańskiego budził podziw szlachcianek. Ugiąć się musiały lwowskie patrycyuszki pod ciężarem haftów i kosztowności. Wspomniane bywają nawet złote koszule, a wschodnie upodobanie

w klejnotach i kruszczach tem się tu bardziej przyjmowało, że smagłym Ormiankom do twarzy bywała oprawa szczerolota lub uryański blask pereł, gaszony blaskiem gorejących oczu: stroiły się też jakby na obrazach. O jednej z nich, Hanuchnie Serepkowej, piszą, że *chadzala cała jak dukat*, i spis jej wyprawy cały złotem nadziany. Ale nie trzeba mniemać, aby z tym wschodnim przepychem miało iść w parze wschodnie też nieochędzstwo. Owszem, ta elegancja nie była bynajmniej zewnętrzna i odświętna: sięgała najpoufniejszych szczegółów porządku i czystości. W każdym domu była łaźnia, a bielizna czyli tak zwane *chusty* stanowią jeden z najobfitszych działów męskiej i żeńskiej garderoby. Widzimy tam koszule *flamskie* i półflamskie, (zapewne z hollenderskiego płótna), kolońskie, poszewki, giezła, przyglównice, a wszystko suto haftowane i obszywane koronkami weneckimi, *marcepanowemi* i innymi. Jeśli futra—to sobole, gronostaje, pupki popielice i kuny. Jeśli klejnoty—to najwięcej pereł uryańskich, dyamentów i rubinów. Jeśli materye—to aksamity, atlasy, złotogłowa, tabiny, „w wodę“ (co oznacza morę), adamaszki, lamy, telety, jarmułuchy. Pokoje obite brokatem lub arrasami—firanki z atlasu, podszyte „musulbasem“ z koronkami srebrnymi. Przyrządy toaletowe wszystkie srebrne, a i wachlarze, i książki do pacierz także w srebro oprawne. „Nareszcie pozytywki, klawikordy, zegary—w każdym domu, w każdym pomieszkaniu zamożnej patrycyuszki. Nie można się dziwić tym zbytkom, gdy się w toku niniejszej książki poznaje dostatki o wych mieszczańskich, nieodbiegających lady kupieckiej, a kochających się w obrazach i oponach niderlandzkich, bogatych księgozbiorach, estetycznych budynkach, srebrach wspaniałych, kobiercach perskich i tureckich, broni rozmaitej, i wszystkim, co się składa na wytworną cywilizację.

Lecz odbiegliśmy od przedmiotu, który nas głównie na tych kartach dziś nęci i zajmuje. Mówić mamy o stronie obyczajowej, o roli niewiast w społeczeństwie lwowskim. Przeczytawszy olśniewające spisy wypraw i garderoby córek mieszczańskich, dowiadujemy się, iż gdy weselne z niepomierną okazałością się tu odbywały, że nawet oszczędny Wilczek, który unika hałasu i kosztów, wyprawia córce Magdalenie wesela porządne i jak *Wilczek wart*, nie szczędząc ani na świece jarzące, ani na muzykę. Szkoda tylko, iż, otrzymując tyle szczegółów z życia ówczesnych mieszczańskich, nie znajdujemy tu *menu* uczt i biesiad wyprawianych na uroczystości rodzinne. Dawnego obyczaju długo przestrzegano, i cały ceremoniał wychyla się z epitalamiów, oracyj i poemacików okolicznościowych. Oto np. jak się odbywały zrzekowiny. Oświadczając się młodzieniec pił do panny, następnie w kawałek białego chleba zatykał rozmaryn, a na rozmaryn kładł pierścien i to jej razem podawał. Ojciec zaś, z rozmarynu zdjąwszy pierścien, kładł go na palec córki i błogosławił młodej parze, zaczem panna na talerzu narzeczonemu oddawała chustkę złotem haftowaną, różdżkę i wieniec. Przed ślubem poświęcano łubki wieńcowe, urządzano t. zw. *aobre myśli* czyli serenady i pobudki muzyczne. Bywały i oracye przy prośzeniu o pannę. przy dziękowaniu za pannę i t. p., niektóre bardzo zabawne i charakterystyczne, napisane zwrotami mytologicznymi i napuszonymi frazesami. Z czasem bowiem, jak się wyraża p. Łoziński, „język lwowieje“, odznacza się szumem i pewną *suu generis* odętością, która bodaj dłużej się przechowała od dostatków miejskich...

Niedawno pamiętnik arabskiej księżniczki powiadał nam, iż największym wypadkiem w haremie był doroczny powrót obładowanych z Arabii statków. Dla Lwowa i tego młodego społeczeństwa takim samym zdarzeniem, górującem nad innymi było przybycie ormiańskiej karawany ze skarbami dalekiego Wschodu. Wtedy zapewne w znacznej części zakupywano wspaniałe ozdoby stroju kobiecego i przedmiotów do przyozdabiania wnętrza domów mieszczańskich, w których komfort i bogactwo, między innymi nam się wychyla z inwentarza spadkowego jednego z wybitniejszych patrycyuszów lwowskich,

członka możnej rodziny Alembeków czyli Alupuków, tem dla nas ciekawszego, iż go opisała z wzorową, prawdziwie podziwienia godną, starannością i dokładnością druga jego żona, Zuzanna Chmielówna. Są tam trzy kamienice i dwa ogrody, gotówki coniemiarza, kosztowności bez liku, zegarów, kompasów matematycznych sporo, kobierców przednich przeszło trzydzieści, skrzyń z kosztownościami, szkatuł cyprysowych, krzesel skórzanych—fajansów tureckich i gdańskich poczet nie mały. Znalazły się i lutnie, i klawikord, samych obrazów sto dwa, biblioteka zaś w 45 szafach złożona liczy 1248 dzieł, co na owe czasy imponująca już stanowi liczbę. O możliwości domu świadczy i ilość służby wymienionej przez wdowę: a więc czeladnik, dwóch inspektorów do dzieci, dwóch woźniców, chłopców kilku do sklepu, kucharka, szynkarka izdebną, szwaczka i dziewczyna do posługi.

Wśród mnóstwa wyobrażeń rysunkowych, wzbogacających tę ciekawą książkę, szczerólnym wdziękiem pociąga portret zmarłej przedwzześnie Langiszówny z rodziny greckiej Lankgis. Było ich siostr siedm, cztery wyszły za mąż, dwie poświęciły się służbie Bożej w osobnym klasztorze ojcowską hojnością wzniesionym. Matka ich testamentowym zapisem ubezpiecza oliwę do lampy „co nad grobem jej miłego małżonka wisi.“

Kobiety przodują w pobożnych fundacjach. Zuzanna Szarfenbergerowa Ostrogórska buduje i uposaża kościółek Ś-go Marka, Katarzyna Boimowa portretem własnym dowodzi, iż należec musiała do fundatorów tej pięknej ogródowej kaplicy, która ocalała sama jedna przed niszczeniami zapędami XVIII wieku. Ale i świeckie gmachy nieraz kobieca wznosi ręką. Nie jeden piękniejszy dom za ich powstaje wolą, żeby tylko wspomnieć rynekową kamienicę Zofii Haulowej, przez włoskiego architekta zbudowaną i bogato rzeźbami kamiennymi ozdobioną. Tażsama Zofia stawia swojej patronce kościółek. Nie darmo do zamożnego weszła domu. Inwentarz spadkowy Haula przyświadcza rycerskim upodobaniom mieszczaństwa lwowskiego. Nietylko bowiem wśród innych kosztowności wyliczoną tam jest broń domowa, lecz jeszcze znajduje się i stadtina, głównie z klaczy tureckich złożona. Również i win zamorskich, tego szlachetnego szlachty napoju, pełne zostawia ów pan Haul piwnice. O niezależnej dumie ówczesnych mieszczań lwowskich dosadnie następny szczegół nas poucza. Właściciel kamienicy, wyznaczając u siebie kwatery gospodarowej wołoskiej Mohylinie, zastrzegł sobie, iż „się Jejmość wyniesie na dwie Niedziele podczas wesela jego syna Piotra“. Gospodarówny nierazkto znajdowały się na bruku lwowskim i wychodziły za prostych śmiertelników. A znów rzecznym dowodem serdecznej czułości rodzinnej jest ów słynący łaskami obraz Najsw. Panny, „namalowany w większą pobożnością, niż sztuka“ przez oplakującego wnuczkę dziadka, Józefa Wolfowicza.

Nie skończylibyśmy naszego pokłosa, chcąc z tej prawdziwie pięknej książki wydobyć choćby te tylko rysy, które się odnoszą do rodzinnego życia i charakterystyki niewiast ówczesnych. Rozwinęliśmy tu olśniewające rejestra dostatków miejskiego patrycyatu, ale snadź dobrobyt był uogólniony, sięgał do niższych warstwy społecznych, skoro wspomniany już przez nas Kunaszczuk, dorobkowiec, który handlem i lichwą doszedł do posiadania własnego domu, córce swej Baśce daje wyprawę, w której figurują i ogony sobolowe i pierścienie z rubinami, tym ulubionym lwowskich elegantek klejnotem, i siedm sznurków pereł, i bielizny bez końca, wnuczce zaś Marynie nie mniej sate sprawia wiano, gdzie znajdujemy i korale i coś sreber, i zwierciadło, i pościel obfitą z powłokami do odmiany, i łóżko z frankami, i „szustokory“ (*juste au corps*) futrem podszyte, i spódnice z *pańskiej* saji, i lamy i galony, których dziadek lichwiarz nie skąpił ulubionej dziewczce.

Możnaby jeszcze długo prowadzić te wyciągi z szacownego dzieła. Kto wie, azali nie znajdziemy zczasem jeszcze obfitszego plonu w dalszych tomach tego zajmującego a ważnego wy-

dawnictwa, gdy z kolei poznawać nam przyjdzie zabytki architektury i rzeźby, a dalej sztuki i rękodzieła dawnego Lwowa. W świat ten piękna wkraczać zwykły niewiasty, królujące wszędzie i zawsze podniefą czy nagrodą. Poznaliśmy je w zakresie domowego życia i trudów: poznamy może w świetle artystycznych rękodzieł, do których dawne nasze kobiety przykładały dłoń pilną a zręczną, czego dowodem owe ornaty, antepedya i hafty, zachowane w zakrystyach naszych kościołów i upamiętniające pracowitość i zmysł estetyczny naszych babek. Poznamy je zapewne i w heroizmie obrony miasta od powtarzających się najazdów czerni tatarskiej, i w dramatach jassyru. Pozostawili one zapewne niejedno echo wśród archiwów miejskich, tej kopalni, z której nam p. Łoziński wydobył na jaw tyle zajmujących rysów i postaci. Szczęśliwy Lwów, iż podobnego doczekał się historyka zamierzelej przeszłości. Oby i inne miasta, inne społeczeństwa mogły nam się wychylić z mroku niepamięci, zaklecie czarem pióra i umiejętnością dziejopisarskiej pracy!

M.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż w Sierpniu 1890 r.

Dalszy ciąg atmosferycznych awantur. — Paryż w locie. — Ci, co tu zostali, i ci, co wyszli. — Paryż, jako stacya letniego sezonu. — Peregrynacja Paryżanina. — Paryż w tej chwili. — Migracja Anglików. — Nęda i jej skutki fatalne. — Dziwaczne pomysły ratunku. — Bieda i fałszerze biedy. — Co robić? — Pani Ackermann i jej śmierć. — Kilka wspomnień o talencie i osobie. — Zaręczyny księcia Pawła Sapieli z panną Branicką. — Epithalamium. — Nowe książki. — Emilia Gebharta „Historja odrodzenia religijnego w Wiekach Średnich“. — Stendhala „Henryk Brulard“, nowe wydanie przez p. Stryjeńskiego. — „Amerykanie u siebie“, przez panią San Carlos de Pedra — Nowa powieść St. Rzewuskiego „Alfredyna“.

Słyszymy jedno tylko — powszechne i nieustające skargi, na niestałą pogodę, na brak słońca i ciepła. Niestety! Lato przeszło, jakby go nie było. Zaledwie kilka dni jasných, i natychmiast zalewa nas deszcz, wałą pioruny — grad sypie jak grochem — i zimno, zimno jak w psiarni! Co z tego wyniknie — trudno zgadnąć; tymczasem człowiek wciąga na siebie co może, i stare zimowe palto odegrywa swą rolę, jakby w końcu Listopada.

Wśród tej klimatycznej klęski, ci, co zostali w Paryżu, zamiast lecieć w świat na cztery wiatry, lepiej wyszli na tem, niż ci, których zwyczaj, czy moda, wyprowadziły *volens volens*, do kąpieli morskich, albo w góry i lasy — gdzie, zamknięci w ciasnych i niewygodnych ciupach siedzą, jak kury w kojcu, nie mogąc nosa wyszcibić nazewnątrz, gdzie szaleje obrzydliwa plucha. Tam dopiero muszą być lamentacye, których warto posłuchać.

Kąpiele morskie, góry, lasy, wiesz — *O! rus quanto te aspiciam!* — wszystko to jest miłe i lubie — z warunkiem, że będzie słońce i pogoda. Wiesz, którą zamożność pozwala opatrzyć wszystkim, co może uprzyjemnić zamożne życie, to rzecz błoga i miła; ale wiesz, jako ustronie, gdzieś na dalekich od świata manowcach, — wiesz zredukowana do chłopskiej brudnej chaty, do czerstwego chleba, do chudej kury i t. p. specyaliów, — przyznam się, że wiesz do tego cudza, nie swoja: jest to prawdziwa plaga dla tego, kto może w mieście — i to w takim, jak Paryż — mieć wszelkie wygody, a nawet owo tak sławne powietrze, i lasy, i wody, i wszystko, — co człowiekowi potrzebne do uprzyjemnienia życia!

Zresztą Paryż, tak, jak jest dzisiaj, może zastąpić wszystkie podróże i wszystkie wycieczki nazewnątrz. Wszystkie te wykrzykniki: Paryż pustynia, Paryż osamotniony, Paryż wielkie

omentarzysko—wszystko to przesada i kłamstwo! Przy umiarkowanej temperaturze jest to bez zaprzeczenia jedna z najrozkoszniejszych willegiatur—kiedy tak już się ten wyraz ciśnie pod pióro—ze swoim Laskiem Bulońskim, z całym różańcem kwitnących, wspaniałych okolic—to rozkosz i przepych, byle umieć użyć i zażyć tego *quantum satis*.

Ale nie trzeba dawać posłuchu tym wymyślnym narzekaniom wyrafinowanych Paryżanów, którym nigdy nie zadość uczynić nie może. Według tych ptaszek, co przebrały miarę we wszystkim, olbrzymie fortyfikacje stolicy Francji nie zamykają w tej chwili nic, prócz spiekłej Sahary,—prócz nieznośnej pustyni, którą ożywia jedynie ta wstrętna karawana sąsiednich wypiarzy, prowadzona pod laską agencji Cooka i spółki. Są to wymysły i kalumnie: Paryż zawsze jeszcze tensam i niezmienny, co jeśli w tej chwili pewna część zamożniejszych mieszkańców wyniosła się tam do owych legendowych zamków (châteaux), gdzie życie urządzone na taką skalę, o jakiej mogą marzyć jedynie milionerzy z końca naszego wieku—to wcale nie zmienia fizioognii stolicy. *Non cuius homini contingit adire Corymbum...* Szczęśliwi, którym dano jest używać w ten sposób; ale nie jest to wcale reguła, że bez tego życie niepodobnym byłoby do zniesienia, a nieszczęśliwi ci, którym sądzono lato przepędzić w Paryżu.

A naprzód, jest tu zapytanie: czy ci, co tak gwałtuja na Paryż w lecie,—czy ci pesymiści znają dobrze Paryż, i to, co on przedstawia dla dobrze zrozumianej higieny moralnej i fizycznej człowieka?

Oto właśnie mię opuszcza dobry i zacny przyjaciel z powrotem z tych, tak niby zaczarowanych wybrzeży, gdzie kwitnie w całej pełni *Pociker*, to, co się u was—jeśli się nie mylę—nazywa: *schwindel*, i gdzie hartowne horyzontałki, podług wyrażen tutejszego świata, zaskarbiają sto tysięcy dochodu, pokazując cudowne króliki, owe sławne w tutejszym żargonie „*Les lapins*“—oto są rozkosze i delicye tamtego świata. A, wołę, wołę już Paryż, gdzie, jeśli słyszę o królikach, nie jestem zmuszony na nie patrzeć, ani im służyć za pokarm.

Ale ci, tak przesyleni Paryżem, cóż oni znają z tego Paryża? Małą, szczupłą cząstkę, z której nie ich wydobyć nie zdoła. Przestrzeń, w której się poruszają i żyją, jest tak ograniczona, jak głowy tych ludzi, tych specjalistów przysięgłych *high-life'u* i najwybitniejszej elegancji. Dla nich niema Paryża poza granicą, którą zamykają *Place de la Concorde* i hippodrom *Longchamps*. Dla nich, w połowie drogi pomiędzy temi dwoma punktami, ku tryumfalnym wrotom *de l'Etoile*, jest prawdziwe siedlisko Paryżanów; tu bije w pełni ich serce i pracuje wulkaniczna mózgowica „*miasta światła*“.

Patrzę na nich, jak codzien po dobrem śniadaniu, i byle choć trochę pokazało się słońca, nie zważając na pesymizm i lato, rozpoczynają ową pielgrzymkę wielkiego świata, zatrzymując się na znanych tu stacyach *Club des Pannés*—nie podobne do tłumaczenia wyrażenie miejscowe, a oznacza ludzi o zbyt puste kieszeni, aby mogli pozwolić sobie przejażdżki powozem lub konno. Pochodzi to od wyrażenia: *rester en panne*—*zawiesić wszelką czynność, czekając wypadku albo pomyślniejszych okoliczności*. Ten klub ma swą rezydencją pod gołem niebem, na rogu *Alei Bulońskiej* i placu *Arc de l'Etoile*. Tam, na krzesłach za dwa, lub trzy susy najętych, można widzieć przesuwający się cały świat paryzki, każdego dnia, między drugą i szóstą godziną po południu.

Druga stacya *La Potinière*—coś jakby nasza plotkarka—ma swą siedzibę również na najętych krzesłach, przy samym wjeździe do Lasku Bulońskiego, gdzie dziś urządono chińską kawiarnię... chińska? to najczystsza blaga—bo to jest czysto paryzki zakład.

Trzecia stacya u *kaskady* lasku, z obowiązkowym galopem po alejach jeziora zwanych *des Posséaux*, *stópów wskazujących drogę* i akacyi.

Zapytaje go po powrocie o wrażenia z tej podróży, a odpowie ci niechybnie, że od Pól Elizejskich do Tryumfalnego Łuku i wzdłuż alei, no-

szącej niegdyś nazwę: *Alei Cesarzowej*, pod cieniem drzew zielonych, nie spotkał tylko chodzątkową szlachtę, uwrzyerów bez roboty, kommissantów i panny z zamkniętych sklepów, i wałęsających się kupami całemi Anglików. Doda do tego sportsmenów, na najętych szkapach i kokoty bez grosza.

Zapewne, że ten kalejdoskop buloński ma więcej daleko blasku i świetności, kiedy się w nim ukaże cała kwintessencja paryzkiego wielkiego świata; ale nie trzeba wymyślać, i niekoniecznie jest się filistrem dlatego, że i latem można znaleźć przyjemny pobyt w Paryżu. Jedną z najmiłszych podług mnie letnich atrakcyj Paryża, to ta właśnie spokojność i odosobnienie, jakich tu człowiek zażywa latem,—co tworzy, jakby nową i świeżą atmosferę Paryża—to uczucie jakby samotności i tego *incognito*, którego zażywa człowiek zostawiony samemu sobie.

O, jakże przechadzka w tym lasku latem jest miłą nierównie, pozbawiona tego ciągłego czapkowania naprawo, nalewo, i tych banalnych uścisków ręki, wśród tej — jak mówił *Château-briand*—wielkiej pustyni ludzkiej. Jakże łatwiej wówczas iść za własną myślą? czuć, że się nie jest skrępowanym żadnymi obowiązkami pustego i próżnego świata! Jest to prawdziwa rozkosz, którą zna ten tylko, kto się usmażył na paryzkim ruszcie.

W tej chwili wyjątkowo Paryż jest zalany Anglikami obojej płci,—w jakich strojach?—niema już co mówić, bo je zna świat cały. Jest to przecież dywersja widzieć tych ludzi, którzy jakby umyślnie przychodzą pokazać *urbi et orbi* najdziwniejszy zbiór strojów, gdzie wszystko jest oryginalne i śmieszne, zaczawszy od barwy do kroju i sposobu noszenia. I trzebaż, aby ta reprodukcyja miała właśnie miejsce w Paryżu wśród najlepszych wzorów elegancji i dobrego smaku.

Ale, jak powiedziano, i ta dziwna sprzeczność ma swoją wartość—dlatego właśnie, że tak różna, tak odmienna od tego wszystkiego, na co przywykliśmy patrzeć codziennie; nadaje ona daleko większą wartość temu, co się odznacza czystością i sztywnością smaku. — Ten napływ kochanych wyspiarzy nigdy jeszcze nie ukazał się tu w takiej pełni, jak w tej chwili, gdy przedsiębiorstwo Cooka doszło do swego *maximum* działania i wpływu.—Jest to prawdziwa emigracyja—i podzielona na sekcyje — płynie jakby ogromna, zadziwiająca rzeka—niosąc z sobą ludzi wszelkich klas.

Tragiczne samobójstwo całej rodziny Hayem—i dwa lub trzy inne jeszcze wypadki podobnej natury, mające równie za powód i przyczynę niezmierną nędzę—wzruszyły tu głęboko opinię publiczną. Każdy się pytał: jak to być może, aby się podobne rzeczy działy—wśród społeczności, która ogólnie żyje w pełni dobrobytu i dostatku? Jak to być może, aby ludzie umierali z głodu i bez ratunku tam, gdzie zamożność powszechna jest tak wielką!

Pospieszono więc zaraz z projektami zaradzenia złemu, równie złudnemi, jak niepraktycznemi, a mającemi na celu utworzenie: „*Ligi dobroczynności* — a raczej *miłosierdzia*“ — z całym rynsztunkiem „*poszukiwaczy biednych*“.

Niestety! Tego rodzaju zakład, gdyby nawet został stworzony, nie byłby niczem innym, jak tylko „*filiją*“ tak zwanej *Assistance publique*—i podobnie jak ta ostatnia, byłby opatrzony „*regulaminem i administracją*“, dwoma największemi szkopułami, o które wszystko się rozbija, kiedy chodzi o dopomożenie nieszczęśliwym i biednym. A więc byłby narażonym na teżsame błędy, teżsame wady i teżsame nadużycia.

Moi czytelnicy nie potrafią nigdy wyobrazić sobie, ilu tu jest ludzi, którzy wówczas, gdy prawdziwie biedni są pozbawieni wszystkiego, żyją i żyją prawie zamożnie, na rachunek pomocy i zapomogi publicznej i prywatnej. Można by o tem całe tomy napisać. I to-by nie doprowadziło nas do żadnej praktycznej konkluzji. Dosty jest przecież: ać jeden tylko rozdział o „*proszących jałmużny*“ w Paryżu w książce p. Grison'a pod tytułem: *Paris horrible*, aby się przekonać, jaki stopień zaufania i miłosierdzia należy się tym

tak zwanym biednym, którzy wołają miłosierdzia i pomocy.

Któż z nas nie odbierał i nie odbiera dziś jeszcze listów od ludzi znajomych, którzy kołają do kieszeni i serca, aby pośpieszyć z gwałtowną pomocą nieszczęśliwej matce rodziny—mdlejącej na ulicy z głodu i nędzy! I któż dziś nie wie, że owa matka rodziny — odegrywa w ten sposób haniebną komedię i zbiera sute zasiłki, któremi się utrzymuje życie prawie zamożnych darmozjadów. A ciż żebracy, chodzący po domach—zaopatrzeni w całe archiva pełnomocnych listów i świadectw! To nieskończona processya — i prawdziwa plaga. Nieufność budzi się mimowoli w sercu człowieka — i często może odmówić pomocy, zrażony tylekroć oszustwem, nawet prawdziwie i rzeczywiście potrzebującym.

Jednym słowem: przeprowadzona *anketa* z powodu śmierci rodziny Hayem'ów odkryła tak monstrualne nadużycia, że największe miłosierdzie może się zachwiać w swej bezgranicznej wierze.

Czyż to dowodzi, że wszystko jest dobrze i sprawiedliwie w tem, co się dziś dzieje; że należy tonących łopatą z góry przywalić? Nie; ale kiedy się znajdzie jaki środek praktyczny i dobry, wówczas i ja przyklasnę, i go wam pod uwagę przedstawię. — Tymczasem, litując się nad biedą i nędzą, nie rzucajmy się rozpaczliwie na pomysły humanitarne bez podstawy—i nie sądzmy, aby to było w mocy ludzkiej, wytepić biedę i *stante pede* zgasić do gruntu pauperyzm w wielkich miastach.

A gdyby kwestya podobna była prostą i jasną—gdyby chodziło o pomoc bliźniemu, dawno już bardzo rozwiązano ją na ziemi; ale, niestety, jest ona w rzeczywistości tak skomplikowaną, jak mało innych zagadnień społecznych. Powód i źródło tej nędzy staje na pierwszym planie. Jest nieszczęście i nędza, w której cierpiący żadnej nie ma odpowiedzialności, która jest wypadkiem fatalnego ślepego losu—i jest nędza, której powodem jest sam człowiek, jego wady i jego zdrożności... Dalej idzie cały szereg wyjątków, restrykcyj. Postępujemy więc ostrożnie — szukajmy pomocy i ratunku, ale nie zapalajmy się zbytęcznie.

W moich notatkach biograficznych o kobietach piszących we Francji — idąc za porządkiem alfabetycznym, na pierwszym miejscu zapisałem, nazwisko znanej tu, sędziwej poetki pani Ackermann. Dziś, niestety, przychodzi mi zamknąć ostatnie słowo wspomnienia. Wiecie już o jej śmierci.

Umarła 4 Sierpnia w Nicei, dokąd, jak mówiłem wam dawniej, od lat wielu usunęła się od świata. Pomyście tylko — staruszka, kobieta siedmdziesięciu siedmiu lat, wdowa, bezdzietna, żyjąca sama jedna, samotna — któż o niej będzie pamiętał? Na mogiłach takich umarłych trawa szybko rośnie—a z nią zapomnienie przychodzi.

Pamiętam, że pisząc pierwszą moją notatkę o niej, byłem boleśnie wzruszony wrażeniem, jakie na mnie wywołała pani Ackermann—jako kobieta wiekowa, samotna, zapomniana gdzieś tam, w dalekim zakątku Prowancji. Kiedym ją widział raz ostatni, dawno już temu, była to staruszka, owinięta w szale wełniane i koronki — z pocziwym wyrazem twarzy, na której wiek podeszły jakby przygasił i zrównał wszelkie ostrzejsze odcienie rysów. Siwe włosy, krótko ostrzyżone, ruchy nieśmiałe i niepewne — nigdy-bym nie odgadł w niej poetki, o której tyle słyszałem ongi.

A przecież ta powierzchowność, zwyczajna i niepewna, ukrywała w sobie dziwny płomień wewnętrzny. Całe życie tej kobiety zjednoczyło się w jej głowie—w mózgu. Nigdy nie poruszyły jej namiętności wielkie, nigdy żadnej awantury, zaburzenia, oprócz zaburzenia myśli i twórczości. Zdaje się, że ta spokojna kobieta nikogo nie kochała silnie w swem życiu, chyba męża swego — z którym żyła ledwie dwa lata. Opowiadała sama, że dzieckiem jeszcze pieścioty jej rodziców były już dla niej jakby ciężarem—bo nie wiedziała, czem za nie odpłacić. Co lubiła zawsze—to samotność i książki.

Wszystko to tłumaczy trochę może zbyt oschłą energią jej poezji. Łatwo jest odszukać ślady stosunku jej ze sławnym Proudhonem, którego mąż jej był przyjacielem i zwolennikiem. Cała wartość i znaczenie jej poezji, jeśli to należy nazywać poezją, to piękne i dzwienne wiersze, których napisała tyle; leżało w tem współczucie nieszczęść, trosk i bólów ludzkich, których sama przecież nie doznała nigdy!..

Ma ona jednak — od czasu do czasu jakby krzyk przeciągły, bolesny, który się podnosi z jej duszy — a tak rzadki u francuzkich poetów, wyjąwszy może Lamartine'a. To też, cała jej poezja, a raczej wymowa, cały i zupełny odgłos jej duszy zawiera się w tych kilku przekleństwach, rzuconych rozpaczliwie, jakby w twarz okrutnemu i próżnemu losowi. P. Ackermann w tych dzwicznych i potężnych wierszach („Okrzyk“) podnosi się już na wyżyny poezji. Wyobraża się tu ona sama na pokładzie tonącego okrętu — okrętu, gdzie wszyscy ludzie, to jest ludzkość cała wsiadła z nią razem! Załuję, że brak miejsca nie pozwala mi przepisać tych pięknych wierszy, które ciekawi znajdują w jej dziełach. Dwa ostatnie wiersze są: „Eh bien! ce cri d'angoisse et d'horreur infinie, Je l'ai jeté; je puis sombrer!“

Tak — krzyk ten słyszano; nawet dziś, kiedy owe bałwany tajemniczego morza zamknęły się nad prorokinią — ten głos nieszczęścia nappełnia

jeszcze rozległą przestrzeń. Jest to przywilejem namiętnego uczucia stworzyć sobie samemu czasem formę, która sama tylko chroni od niepamięci i zniszczenia!

Była więc ona poetką w pewnych swych godzinach — ta biedna stara kobieta o spokojnej postaci; a wreszcie dowiodła tem, że pozostaje zawsze coś w kobiecie, którą pozbawiono mimo jej wiedzy — wiary i miłości, jeśli ta kobieta jest wyższą nad inne.

Teraz od Epitaphium przejdźmy do Epithalamium. Bo, jak mówi Malczewski, wszystko się dziwnie plecie — na tym tu biednym świecie!

Niedawno wspominałem wam o młodym naszym podróżniku do krańców dalekiego Wschodu — o księciu Pawle Sapieże, synu księcia Adama; oddałem pochwały należne, wyraziłem ojcyste nadzieje, że będzie nam z tego młodzieńca pożytek i chluba. Aż oto się dowiaduję, że młody wędrowiec, zaprowadziwszy swą nawę do ojczyznej ziemi, zamiast zbierać laury, woli wonne róże — i że, spotkawszy miłą a sympatyczną bogdanę, uwieńczył głowę myrtami!

To jest, mówiąc mniej poetycznie — zaręczył się z młodszą córką p. Władysława Branickiego z Białej Cerkwi. Ojciec był najmłodszym z czterech dziś już zmarłych synów również Władysława hr. Branickiego, a matka jest córką s. p. ks. Leona Sapiehy.

Zaręczyny odbyły się niedawno w Białej Cerkwi. Młoda para wróży najlepsze nadzieje na przyszłość — fortuna i imię obowiązują. Bohdanka jest najmilszą dziewczęciem na świecie — a pan młody, jak wam mówiłem, pamięta na to, kim jest! a więc szczęść Boże!

(Dokończenie nastąpi.)

OD WYDAWCY.

„Bluszc“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się Arkusz 6-ty powieści pod tytułem: *Administrator*, przez Golo Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej.

TANIE WYDANIE.

PISMO ŚWIĘTE

Starego i Nowego Testamentu

podług tekstu łacińskiego Wylgaty.

Przekład X. Jakóba Wójka

Wydanie nowe z objaśnieniami, zaaprobowane przez Konsystorza Archidiecezji Warszawskiej.

Jedyna w swoim rodzaju pod względem przepychu edycja

ozdobiona **230** ilustracyami

rysunku najslawniejszego francuzkiego ilustratora

GUSTAWA DORÉ

Wychodzi zeszytami. — Zeszytów wszystkich będzie 60.

Dotychczas wyszło zeszytów **33**.

Każdy zeszyt zawiera 3 — 4 arkuszy tekstu i 4 ryciny nie w tekście, lecz oddzielnie odbite.

Cena zeszytu kop 25; — pocztą kop. 32.

Nadsyłający z prowincyi odrazu prenumeratę na całe dzieło płacą tylko rs. 17 zamiast rs. 19 kop 20, jak to przy częściowej opłacie wypada.

ZBIÓR

POWIEŚCI HISTORYCZNYCH

J. I. KRASZEWSKIEGO

Przedstawiających w formie powieściowej

Dzieje od IX do połowy XVIII w.

(WYDANIE TANIE)

29 powieści — **78** tomów.

Stara Baśń 3 t.

Lubonie, 2 tomy.

Bracia zmartwychwstańcy, 3 t.

Masław, 2 tomy.

Boleszczyce, 2 tomy.

Królewscy synowie, 4 tomy.

Historia prawdziwa o Petru

Właście, 2 tomy.

Stach z Konar, 4 tomy.

Waligóra, 3 tomy.

Syn Jazdona, 3 tomy.

Pogrobek, 2 tomy.

Kraków za Łoktka, 2 tomy.

Jelita, 1 tom.

Król chłopów, 4 tomy.

Biały książę, 3 tomy.

Semko, 3 tomy.

Matka królów, 2 tomy.

Strzemińczyk, 2 tomy.

Jaszko Orfan, 4 tomy.

Dwie królowe, 3 tomy.

Infantka, 4 tomy.

Banita, 3 tomy.

Bajbuza, 3 tomy.

Na królewskim dworze, 3 tomy.

Boży gniew, 3 tomy.

Piaś (Michał Korybut), 2 tomy.

Notatki Polanowskiego, 2 tomy.

Za Sasów. Część I, 2 tomy.

Za Sasów. Część II, 2 tomy.

Cały zbiór 29 powieści (78 tomów),

Kosztuje rs. 28 pocztą 33.

Wydawnictwa powyższe są do nabycia w księgarni M. Glücksberga wydawcy *Bluszcza*, przy ulicy Królewskiej Nr. 5 — oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

TREŚĆ: Pogawędka. — Dzieci z Suteryny, przez Bronisława Grabowskiego. — Przegląd Teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Mieszczanka XVI i XVII wieku, przez M. (dokoń.) — Nowiny Paryzkie.

Dodatek obejmuje: Arkusz 6-ty powieści, pod tytułem: *Administrator*, przez Golo Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej. — Przegląd mód. — 30 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 29 Августа 1890 года.



Nr 1. Suknia z bluzką dla młodej osoby (do ryc. Nr 2).
(Kr. pierw. str. tabl. Nr III, fig. 20—27).



Nr 2. Suknia z bluzką dla młodej osoby (do ryc. Nr 1).
Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 20—27.

poprzed. podw. sł. 1 sł. którego górnej żyłki nie przer. w nast. pent., jedynym podw. sł., którego górną żyłkę z poprzed. 2 sł. razem przer., nast. 2 pentelki razem przer., 1 listek jak poprzednio, poczem od * powtórzyć, ale 1 podw. sł. przer. ciągle razem te same 2 pent., które poprzed. podw. sł. przer. — 2 kolej: * 1 potrój. sł. w następ. razem przer. 3 sł., 5 pow. o., 1 śc. o. w toż samo o. w którym przer. potrój. sł., 5 pow. o., 1 potrój. sł., którego górnej żył. nie przerob. w to samo o., od * powtórz., ale ciągle górną żył. 1 potrój. sł. przer. razem z poprzed. potrój. sł.—3 kolej: ciągle naprzemian: 1 śc. o. w nast. potrój. sł., 6 pow. o. — 4 kolej: ciągle naprzemian: 4 sł. w nast. 6 pow. o., 5 pow. o. przodziel. pikot. (pikot czyli 4 pow. o. i 1 śc. o. w poprzed. sł.) w nast. 6 pow. o.—5 kolej: z drugiego brzegu galonu: ciągle naprzemian: 2 potrój. sł., których górne żył. razem przer. w nast. 2 pent. 3 pow. o.—6 kolej: ciągle naprzemian: 1 sł. w 2 z rzędu o., 1 pow. o.

Koszyczek i część haftu tegoż.

Rycina Nr 8 i 9 w Bl. Nr 36.

Koszyczek częścią brązowany, częścią politurowany. Haft wykonać podług ryc. Nr 8 na białym koloru piaskowego, ścięciem płaskim i łańcuszkowym, brązowym i niebieskim jedwabiem. Figury zębate otoczyć metalowym sznureczkiem koloru poziomkowego. Tegoż koloru sznureczki jedwabna oraz sznureczki ja-



Nr 3 i 4. Suknia dla paniąki od 3—5 lat. (Kr. i op odw. str. tabl. Nr XII, fig. 68—77).

Kwadraty do łączenia z sobą na serwetki i t. p.

Rycina Nr 4 i 11 Bl. Nr 36.

Kwadraty wykonane na tkaninie jedwabnej koloru żółtawego filozela i nitką złotą, łączone z sobą szlakami pluszowymi lub aksamitami. Na kwadrat Nr 4 użyć filozeli koloru różowego, jasno - niebieskiego, jasno - brązowego i oliwkowego, oraz złotych nici. W części środkowej podług ryc. wyciągnąć po trzy nitki tkaniny wzdłuż i w szerz, brzegi otoczyć ściśłym ścięciem filozela różową i 3 nitki stanowiące kwadraciki przerobić złotą nitką. Muszki otaczające filozelą oliwkową. Rząd zamykający, filozelą jasno-niebieską przez trzy nitki tkaniny z uwzględnieniem rogów. Rzucane tło filozelą brązową, otoczenie złotym sznureczkiem. Ukośne ścięgi i muszki filozelą oliwkową. Zewnętrzny rząd ząbków, jasno-niebieską a rząd krzyżowy nitką złotą.

Kwadrat Nr 11 wykonany jedwabiem ciemnoniebieskim i brązowym oraz nitką złotą ścięciem płaskim. Figury przezroczystego szlaczku jedwabiem ciemnoniebieskim, przetykać złotą nitką. Szlaczek wązki wykonany szwem krzyżowym nitką złotą.

Korona (roboty szydełkowa i tkaniny galouik).

Rycina Nr 6 w Bl. Nr 36.

1 kolej: po brzegu galoniku: * przerobić 1 podwójnym słupkiem 2 pentelki galoniku razem, 1 sł. i 1 podw. sł. przer. razem z poprzed. podw. sł. w następ. 2 pentelkę. Na listek 4 pow. o., 2 podw. sł., których górne żyłki przer. razem w 1 z 4 pow. o., potem 1 podw. sł., którego górną żyłką jeszcze nie przer. w tą samą pentelkę, w której przer.



Nr 5. Suknia z materiału wełnianego w kraty i z aksamitu.

Nr 6. Suknia z muszliny wełnianej i z bengali'a

poński przymocowany jedwabiem tegoż koloru. Po wykończeniu haftu, wyciąć niepotrzebny materiał oraz ząbki podług ryc. zaaplikować haft na tło pluszu oliwkowego, podszyć muslinem. Ozdobić rogi rozetkami ze sznurka złotego i drewnianymi perłami powleczone niebieskim jedwabiem. Woreczek z adamaszku jedwabnego koloru poziomkowego 17 c. wys. Obrabek 6 cen. szer. przeciągnięty sposobem krzyżowym sznurkiem jedwabnym koloru oliwkowego. Takież sznury i kwasty zdobią pałeczek koszyczka.

Pasek do spódnicy.

Ryc. Nr 12 w Bl. Nr 36. (Kr. pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 36).

Skrajać z materiału podwójnie złożonego fig. 36 dwie części. Zeszyć takowe od 60 do 61 i przestebnować w tylnej części podług wskazówek dla przeciągnięcia tasiemki krzyżowo.

Spódnica.

Rycina Nr 13 w Bl. Nr 36. (Kr. odwr. str. tabl. fig. I—III).

Spódniczka z barchanu białego w rzucik ponsowy. Skrajać fig. I i III po jednej części złożonej wzdłuż środka. Podług fig. II dwie części, połączyć takowe



Nr 16. Suknia z materiału wełnianego „diagonal” (do ryc. Nr 8).

podług cyfr. Dolny brzeg podszyć na 7 c. wys. szyrtingiem i ozdobić dzierganymi ząbkami wykonanymi białą bawełną. W fig. III wykonać nacięcie, zmarszczyć brzeg górny i wszyć w pasek podług fig. 29 1-ej strony teje tablicy.

Spódnica.

Rycina Nr 14 w Bl. Nr 36.

Spódnica z białej flanelki wykonana podług kroju fig. IV—VI, obszyta w dolnym brzegu wełnianą białą koronką 11 c. szer.

Spódnica.

Ryc. Nr 15 w Bl. Nr 36. (Kr. odwr. str. tabl., fig. IV—VI).

Spódnica z białej flanelki w niebieskie paski. Skrajać podług fig. IV i VI po jednej części złożonej wzdłuż środka, podług fig. V dwie części. Połączyć podług cyfr. Dolny brzeg otoczyć falbanką 10 c. szer. zakończoną dzierganymi niebieskim jedwabiem ząbkami. Połączenie takowej ze spódnicą jedwabiem ząbkami. Połączenie takowej ze spódnicą pokryte listewką 1½ c. szer. haftowaną niebieskim jedwabiem. W górnym brzegu wykonać nacięcie oraz fałdy, trafiając każdy † na kropkę. Wszyć w pasek podług fig. 29

Nr 21. Suknia dla panienci od 15 do 17 lat (do ryc. Nr 18). Kr. odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 39—50.



Nr 12. Suknia z tiulu.

pierwszej strony teje tablicy.

Majtki damskie.

Ryc. Nr 16 w Bl. Nr 36.

Skrajać majtki z szyrtingu podług fig. 28 i 29 1-ej strony teje tablicy. Obszyć falbanką i szlaczkiem haftowanym podług ryc.



Nr 14. Monogram.

Majtki damskie.

Ryc. Nr 18 w Bl. Nr 36. (Krój odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 78 i 79).

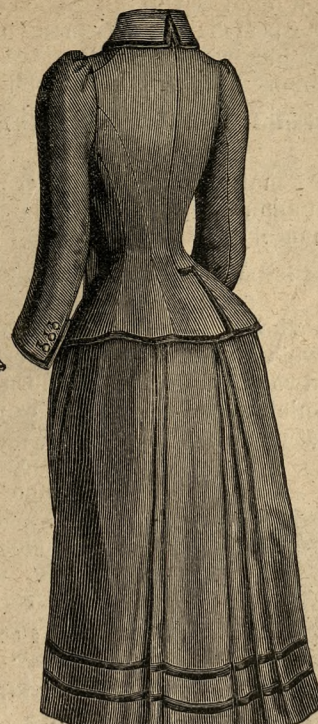
Majtki z szyrtingu zapinane po bokach. Skrajać fig. 78 (po dopelnieniu złożenia) dwie części złożone wzdłuż środka. Podług fig. 79 dwie części z materiału podwójnie złożonego. Części majtek zeszyć od 60 do 61, przednie i tylne brzegi podszyć paskiem 1½ c. szer. i połączyć z przodu od 62 do 63, z tyłu od 64 do 65. Po bokach wykonać nacięcia, których brzegi podszyć paskiem 2½ c. szer., zmarszczyć górną przednią część od * do * tylną od dwukropka do dwukropka i przyszyć z przodu od 62 do 67 podwójny pasek zeszyty od 62 do 66. Tylną część wszyć w pasek 52 c. dług. a 5 c. szer., pasek ten wzdłuż środka przestebnować i w odległości 2½ c. od bocznego brzegu zaopatrzyć w nacięcie do przeciągnięcia na zewnątrz tasiemkę przyszytych do paska. Przyszyć z boków guziczki i wykonać dziurki. Dolną część oraz boczną majtek obszyć haftowanym przezroczywym szlaczkiem ½ c. szer. oraz obrabkiem 3 c. szerok., który wzdłuż rozporoka zaopatrzyć dwoma dziurkami do



Nr 8. Suknia z wełnianego materiału „diagonal” (do ryc. Nr 16).



Nr 10 i 11. Sukni od 2 — 4 lat. (Krój pierw. str. fig. 30—35).



Nr 9. Suknia podróżna lub spacerowa (do ryc. Nr 17).



Nr 18. Suknia dla panienci od 15 — 17 lat (do ryc. Nr 21). Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 39—50.

Nr 20. Suknia wizytowa dla starszej osoby (do ryc. Nr 22 w Bl. Nr 36).



Nr 13. Suknia z batystu ozdobiona haftem.



Nr 15. Monogram.

przeciągnięcia wstążeczki jedwabnej 2 c. szer. i do związania na kokardę.

Stanik ochraniający gorset.

Rycina Nr 19 w Bl. Nr 36.

Krój podług fig. 64—67 odwr. str. tabl. z uwzględnieniem wykroju szyi, wstawka i koronka wykończa całość podług ryc.

Stanik ochraniający gorset.

Ryc. Nr 21 w Bl. Nr 36. (Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 64—67).

Skrajać z szyrtingu fig. 64 — 67 po dwie części. Wykonać zaszewki, połączyć części podług cyfr. Wykroć szyi i pachy obszyć haftowanym szlaczkiem. Wykonać dziurki i przyszyć guziki do zapinania.

Suknia z materiału wełnianego gładkiego i w kraty.

Rycina Nr 24 w Bl. Nr 36.

Suknia koloru orzechowego w kraty z piaskowem, krajana podług ukośnej nitki. Tiunika podług ryc. z materiału wełnianego koloru piaskowego dziergana w ząbki jedwabiem koloru orzechowego. Pelerynka podług ryciny. Stanik z materiału gładkiego, napierśnik i rękawy z materiału w kraty.

Suknia spacerowa z materiału jedwabnego i koronkowego.

Rycina Nr 25 w Bl. Nr 36.

Suknia z materiału jedwabnego mienionego, pokryta cała materiałem koronkowym czarnym. Stanik z materiału jedwabnego wykończony pelerynką koronkową. Pasek ze wstążki czarnej repsowej i takież rozety.



Nr 22. Suknia dla panienci od 14—16 lat (do ryc. Nr 19). Kr. odwr. str. tabl. Nr X, fig. 51—63.

Koronka do ozdoby kościelnej bielizny.

Rycina Nr 26 w Bl. Nr 36.

Tiul przewlekany, miniardiza i podkład ze sznurczka. Przenieść deseń na odpowiedniej grubości tło z tiulu i wzdłuż konturów umocować tasiemeczkę rozmaitej szerokości, którą w zgięciach należy albo marszczyć albo układać w fałdki. Nad tem przeprowadzić sznurczek, przejmując bocznym ścięciem. Następnie sposobem cerowanym płaskimi niemi wypełnić figury. Niepotrzebne tło należy wyciąć.

Patarafka pod wazon i t. p. (Ścieg łańcuszkowy, gałązkowy i dziergany).

Rycina Nr 27 w Bl. Nr 36. (Deseń pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 38).

Patarafka formą winogronowego liścia, wykonanego z sukna koloru oliwkowego. Przenieść deseń na odpowiedniej wielkości tło, na żyłki wybitniejsze wykonać aplikacją z sukna brązowego koloru i otaczać ścięciem dzierganym filozelą rozpolowioną koloru brązowego i oliwkowego. Żyłki i wasy ścięciem łańcuszkowym jedwabiem oliwkowego koloru



Nr 17. Suknia podróżna lub spacerowa (do ryc. Nr 9).

w kilku cieniach. Motylki rozmaitego koloru jedwabiem ścięciem łańcuszkowym, gałązkowym i dzierganym. Chrabąszcze jedwabiem brązowym i czarnym. Ślimaki jedwabiem koloru piaskowego w kilku cieniach. Otoczyć liść ścięciem dzierganym jedwabiem oliwkowym i ponsowym. Po wykończeniu haftu wyciąć tło i podłożyć liść bają koloru ponsowego.

Suknia z bluzką dla młodej osoby.

Rycina Nr 1 i 2. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 20—27).

Suknia z materiału wełnianego koloru białego w niebieskie kraty przybrana niebieskim kaszmiernem. Skrajać z podszewki fig. 20, z materiału zaś fig. 21 po dwie części, z materiału również fig. 23 z podszewki 22, po jednej części złożonej wzdłuż środka. Rękawy podług fig. 25 skrajać z materiału i z podszewki, z uwzględnieniem konturu spodniej połowy. Kołnier, mankiety i pasek z kaszmiernem podwójnie złożonego i z podkładu. Kołnier i mankiety pokryć koronką gipiurową. Zmarszczyć bluzkę w górnym

i dolnym brzegu podług wskazówek i przypasa-
wać podług cyfr do podszewki, zeszyć od podszewki,
od 30 do 32 i od 33 do 34. Przednią
część zaopatrzyć w dziurki i odpowiednie guziki
do zapinania i pokryć paskiem z kaszmiru po-
dwójnie złożonego i zaopatrzonego podkładem
w górze 10 c. szer. a w dolnej części 6 c. Wszyć
kołnierzyk od 35 do 36 i bluzkę połączyć z pa-
skiem od 40 do 41, ten ostatni z prawego przed-
niego brzegu oddalony jest na 7 cen. od lewego
brzegu. Wierzchnia spódnica 110 c. dług. a 300
obwodu przyozdobiona w dolnym brzegu listwa-
mi 14 c., 10 c. i 8 c. szer. z wypustkami nie-
bieskimi. Rękawy zeszyć od 37 do 38, zmarsz-
czyć od * do * oraz od † do dwukropka, ozdobić
mankietami, które wyłożyć wzdłuż linii zgięcia
i wszyć w bluzę. Wzdłuż bocznych szwów przy-
szyć elastykę 14 c.
dług. i umocować
w miejscu ozna-
czonym 30 i 32.
Ozdobić szarfę
kaszmirową 26 c.
szer. a 104 dług.

**Suknia z aksa-
mitu i materya-
łu wełnianego w
kraty.**

Rycina Nr 5.

Suknia z mate-
ryału wełnianego
w jasnym kolorze
w kratę ciemną,
krajana ukośnie i
ciemnym ozdobio-
na aksamitem.
Część przednia
130 c. szer. położona zupełnie płasko, obszy-
ta w dolnym brzegu aksamitem na 20 c. wys.
Część tylna 220 c. obwodu, w górnym brze-
gu w ścisłe ułożona fałdy, spuszczone wolno
ku dołowi. Stanik z podszewki zapięty na
haftki, z krótkim bawetem z przodu i z tyłu,
z materyału skrajany jest w sposób przed-
stawiony na ryc. zamiast zaszepek, kilku fał-
dek i zapina się na ramieniu i bocznym pra-
wym szwie. Rękawy i kołnierzyk aksamitne.

Suknia z muślinu wełnianego i bengaliny.

Rycina Nr 6.

Suknia z muślinu wełnianego koloru reze-
dowego w deseń ciemniejszy. Stanik spięty
krzyżowo na klamrę stalową. Rękawy i na-
pierznik z bengaliny koloru rezedowego od-
powiedniego do deseniu.

patrzyć w guziki i dziurki. Do dolnego brzegu
stanika przyszyć falbanę z batystu haftowane-
go po kilkakrotnie zmarszczoną 29 c. wys. a 128
c. obwodu. Kokarda na ramieniu wykończa ca-
łość.

Suknia z tiulu.

Ryc. Nr 12.

Suknia z nieznacznej długości trenem, z ma-
teryału jedwabnego dowolnego koloru, pokryta
tiulem wełnianym w aksamitne rzucane grochy.
Stanik podług ryc., czarne aksamitne wstążki,
stalowa klamra i falbanki plisowane z materyału
jedwabnego wykończają całość.

Suknia z batystu ozdobiona haftem.

Rycina Nr 13.

Suknia złożona z spódniczki i z wetmanu.

Spódnica z białej satynki, lewy bok tejże w miej-
scu, gdzie rozchodzi się wetman, pokryta wyso-
ką falbaną plisowaną z batystu. Wetman podług
ryc. ozdobiony haftem i falbankami haftowanymi.

Suknia z materyału „diagonal.”

Rycina Nr 16 i 8.

Suknia z materyału wełnianego koloru stało-
wego, ozdobiona repsem jedwabnym tegoż kolo-
ru i pasmanterią czarną 6 c. szer.

Suknia podróżna lub spacerowa.

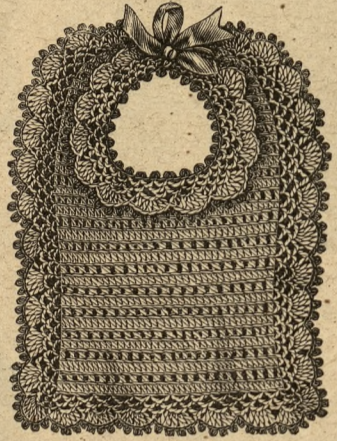
Rycina Nr 17 i 9

Suknia złożona z spódnicy i z kaftanika z ma-
teryału wełnianego koloru brązowego, przy-
brana jedwabnym repsem koloru miedzianego
i ciemno-niebieskiego. Dolna część przybrana
dwoma listwami 4 c. szer. z wypustkami koloru
miedzianego i cie-
mno - niebieskiego.
Napierznik z repsu
koloru miedziane-
go, także wyłogi
przy kaftaniku i
wypustki niebie-
skie.

**Suknia wizytowa
dla starszej o-
soby.**

Rycina Nr 20 (do ryc.
Nr 22 w Bl. Nr 36).

Suknia z mate-
ryału jedwabnego
„satin duchesse”
koloru „heliotrop”
w deseń jaśniejszy,
przybrana czarnym
aksamitem. Składa
się z spódnicy i



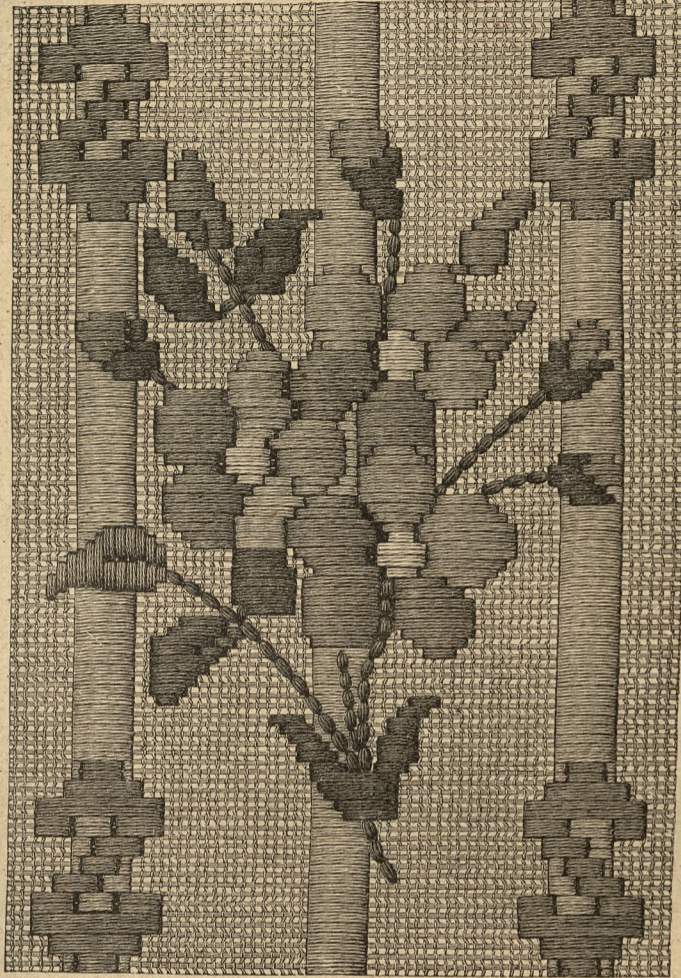
Nr 24. Napierznik dla dziecka
(do ryc. 28), Krój 1-sza str. tabl.
Nr VII. fig. 37.)

wetmanu. Kołnierzyk stojący, pół paska i dolne
przybranie rękawów z materyału jedwabnego
gładkiego pokryte czarną koronką i rulo-
nikami z aksamitu.

**Kołderka na kolebkę lub wózek dziecinny.
Ścieg płaski i rybiej łuszczy.**

Rycina Nr 25 i 26.

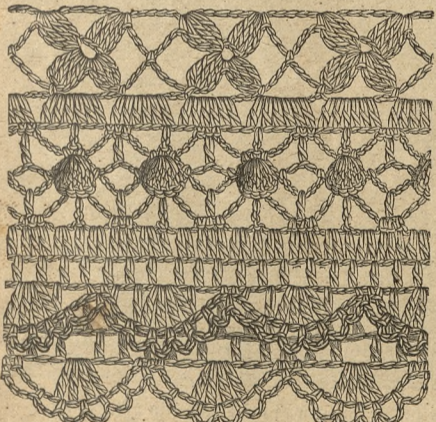
Kołderka 80 c. dług. a 55 c. szer. oprócz
otaczającej koronki, zaopatrzoną jest pod-
szewką z jedwabnego lekkiego materyału
i wykonaną w tkaninie kanwowej „con-
grès” przedzielonej tkanami szlakami. Ko-
ronka klockowa 9 cent. szer. otacza całość.
Co do haftu, którego wzór oryginalnej wiel-
kości przedstawia ryc. Nr 25, należy wy-



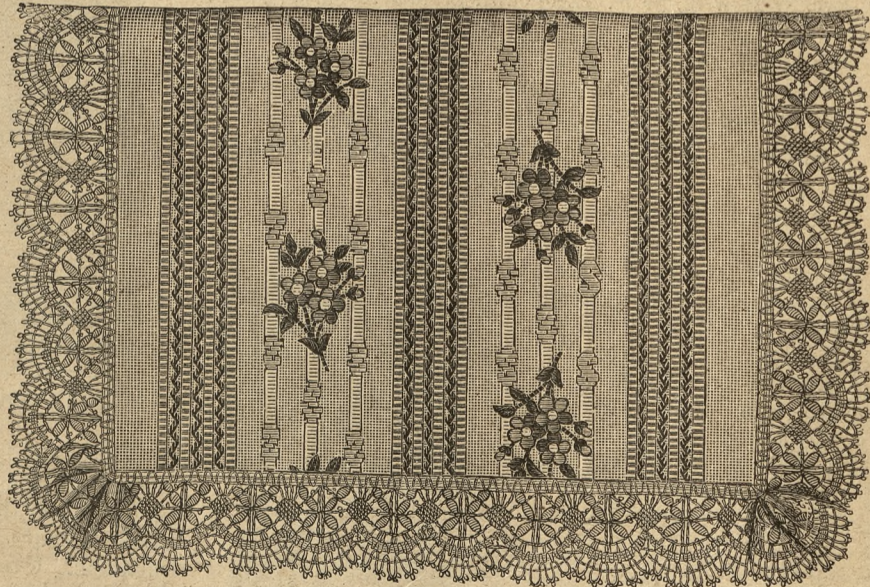
Nr 25. Haft na kołderkę Nr 26 (wielkość oryginalna).



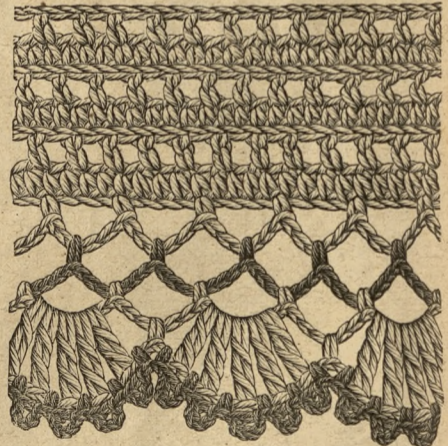
Nr 23. Czepek dziecinny (do
ryc. Nr 27). Robota szydełkowa.



Nr 27. Część roboty szydełkowej do cze-
peczka Nr 23 (wielkość oryginalna).



Nr 26. Kołderka lub przykrycie na dziecinny wózek (do ryc. Nr 25).
Ścieg płaski i rybiej łuszczy

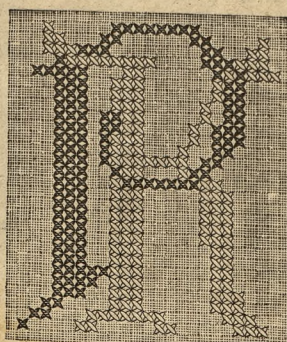
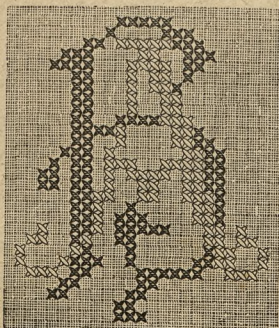


Nr 28. Część roboty szydełkowej do na-
pierznika Nr 24 (wielkość oryginalna).

Suknia dla panienki od 2-4 lat.

Rycina Nr 10 i 11. (Kr. pierw. str. tabl. Nr V,
fig. 30-35).

Sukienka z batystu białego gładkie-
go i haftowanego. Skrajac podług fig.
30 jedną część złożoną wzdłuż środka.
Podług fig. 31-33 po dwie części. Z batystu
haftowanego podług fig. 35 rękawy. Podług
wskazówek zmarszczyć przednią część gór-
ną na 12 c. szer., dolną na 14 c., tylną część gór-
ną na 4½ c., dolną na 5½ c. połączyć takowe
podług cyfr z boczki. Następnie przybrać
podług ryc. paskami haftowanymi 7 c. szer.
Uszyć karczek złożony wzdłuż środka z ta-
kichże pasków i połączyć od 54 do 55 i od 56
do 57 ze stanem. Rękawy zeszyć od 58 do
59, mocując każde dwa † na jednej kropce
i wszyć w paszki. Tylny brzeg stanika zao-



Nr 29 i 30. Monogramy.

U W A G A.

Tablica krojów dołączona do N-ru 36 Bluz-
czu służy też do numeru dzisiejszego.